Nr. 12. Warszawa, dnia 9 (21) Marca 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8**, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty



GOŁUCHOWSKI W BERLINIE.

Podróż kanclerza austro-węgierskiego do stolicy Niemiec wybija się na czoło wypadków. Korzystając ze stanu opinii publicznej, w którą dziennikarze zaczęli już wtłaczać wiarę w prawdopodobne wypuszczenie Włoch z trójprzymierza, p. Gołuchowski pojechał do głównego sprzymierzeńca Austro-Węgier, aby właśnie dotychczasowe węzły i spójnie nowemi zaręczeniami i poręczeniami wzajemnemi wzmocnić. Cel ten niezawodnie osiągnął, i choć nikt ani układów ustnych nie słyszał, ani protokółów spisanych nie widział, taki dodatni wynik podróży można za pewny uważać.

Stosunek dyplomacyi angielskiej do mocarstw sprzymierzonych jest obecnie, po zjeździe berlińskim, zagadkowy. Pewne zbliżenie się p. Lascellesa do hr. Gołuchowskiego, nawet serdeczność, choćby dyplomatyczna, zadokumentowana umyślnem przybyciem na dworzec kolei żelaznej dla pożegnania gościa austro-węgierskiego — nie daje wystarczających wskazówek choćby tylko dla domysłów. Trzeba Anglię i nadal uważać, jak dotychczas, za stojącą po za trójprzymierzem; ale z tego nie wynika, aby się nie miano zejść ze sobą na gruncie współczesnych wypadków, i bez wiązania się na stałe, jednoczyć poglądów swoich i dyplomatycznej przynajmniej energii dla wspólnego działania w jednym kierunku na pewne punkty. Po za trójprzymierzem mówiono o wielu, o wszystkich sprawach europejskich w Europie. Jak zwyczajni ludzie, gdyby się zjechali dla mówienia o polityce, nie mogliby zamknąć się w jednym przedmiocie, tak i ministrowie, zrobiwszy co było najważniejszego, musieli obejrzeć budynek ze wszystkich stron, aby przekonać się, gdzie jest co do naprawienia, do zwalenia przed naprawą — i jakich środków, jakich sił do roboty będzie potrzeba. Samo już trójprzymierze wymagało roztrząśnięcia stosunków każdego z mocarstw poszczególe. Tym sposobem cała polityka europejska przesunęła się przed oczyma dyplomatów zebranych w Berlinie.

Prawdopodobnie Anglia — szanująca zasadę wolnej ręki w samej sobie tylko, — sięgnęła po dłoń cudzą, aby ją w swojej zatrzymać, chciała upewnić się, na co liczyć, czego obawiać się może od dwóch głównie sprzymierzonych w licznych swoich na kuli ziemskiej przeciwieństwach i starciach z interesami mocarstw po za przymierzem stojących. Egipt, Sudan, Chiny, Japonia, a nawet Venezuela i Transwaal, wchodziły do rozmów dyplomaty angielskiego z hr. Gołuchowskim i kanclerzem Hohenlohem. Mówiono prawdopodobnie i o Kubie, przez wzgląd na Hiszpanię, z którą dobrych stosunków niepodobna byłoby utrzymać, gdyby wobec uroszczeń amerykańskich nie zajęto z góry stanowiska nieprzyjaznego. Anglia woli Kubę pod Hiszpanią, niż pod Stanami Zjednoczonymi i już dziś sprawa uznania powstańców nie może być dla niej obojętną. Jest jednak przedmiot ważniejszy i żywsze obudzający namiętności od Kuby, Venezueli lub Transwaalu — i tym niezawodnie zajmowano się w Berlinie równie usilnie, jak trójprzymierzem. Prasa zupełnie o nim milczy — dobry duch gadatliwości zupełnie ją opuszcza, gdy idzie o Turcyę; a przecież logika sama, wobec jawnego już współdziałania dyplomacyi angielskiej z trójprzymierzową nie pozwala przypuszczać wędrowania myśli dyplomatycznej po Europie, po świecie całym, a nie zawadzenia nawet o półwysep Bałkański. Co więcej, niedwuznaczne już objawy mniemań czy marzeń margr. Salisbury'ego upoważniają do domysłów, że choć z grubsza, choć z daleka, dotknąć musiano tego, dziś najważniejszego, choć utajonego jeszcze, tematu polityki europejskiej, jakim jest ogłoszenie spadku po chorym człowieku. Co będzie z Turcyą? — na to zapewne nie dano sobie jeszcze odpowiedzi stanowczej; ale że sobie pytanie samo zadawano — o tem nie wypadałoby wątpić.

Izby włoskie zebrały się za nowego ministeryum po raz pierwszy d. 17 b. m. Rudini rozdarł program erytrejski Crispiego: żadnych Abisynii, żadnych bodaj Tigre, nawet protektoratów: państwo musi być silnem w Europie (skutek narad berlińskich). Układy z Menelikiem o zawieszenie broni i o pokój w biegu. Rząd chce 140 mil. na pokrycie poniesionych od grudnia wydatków. Polityka zewn. pamiętać będzie o zobowiązaniach międzynarodowych. Surowe śledztwo dla wykrycia winy w całej polityce i strategii afrykańskiej zapowiedziane.

Oświadczenia Rudiniego, w Izbie przyjęte przychylnie, w senacie wywołały podziękowanie dla Anglii, która robi wyprawę wzdłuż Nilu do Dongoli za Wady-haltę, i jednocześnie od Suakimu do Berberu; na co znowu Francya patrzy krzywem okiem, protestując i przeciwko zamierzonemu użyciu na obie te wyprawy pół miliona funtów z oszczędności egipskich. Niemcy, przeciwnie, już oświadczyły zgodzenie swoje—także skutek narad berlińskich.

Crispi zaraz po bitwie pod Aduą gotów był zawrzeć pokój i miał już zapewnione pośrednictwo Salisburego. Obecnie prowadzi rokowania przedwstępne z Menelikiem w Entiszyo major Salsa. Menelik daje Włochom granice traktatu w Uczjali z r. 1889, tj. Massauę, Asmarę i Keren z terytoryami: Włosi chcą linii Marebu, bardziej południowej: prawdopodobnie negus przystanie.

Cesarz austryacki wraz z żoną odwiedził d. 13 b. m. królowę angielską w willi Cimiez w Nicei. Po powitaniach rozmawiał z nią na osobności. D 15 b. m. był już w Wiedniu, dokąd poprzedniego dnia wrócił Gołuchowski. Wrażenie zjazdu berlińskiego, jak i samo porozumienie się na nim, doniosłe. Ces. Wilhelm trzykrotnie rozmawiał z ministrem austro-węgierskim. D. 12 b. m. wyprawił dla niego u siebie śniadanie, na którem świadczył mu niezwykłe honory.

Podczas układów znajdował się i umyślnie wezwany ambasador wiedeński, hr Eulenburg. Gołuchowski porozumiewał się z Lascelles'em angielskim, z Lanzą włoskim: stale prawie pracował z kanclerzem Hohenlohe i bar. Marschallem. Prawdopodobnie spisano jakieś protokóły. Przymierze. do r. 1897 obowiązujące, będzie w maju r. b. przez samo niewypowiedzenie przedłużonem, jeśli już obecnie mocy jego na czas dalszy nie rozpostarto.

Większość Izby dep. we Francyi d. 18 b m. obroniła p. Bourgeois, napastowanego przez socyalistów i monarchistów o wystawę powszechną. Plan rządu przewagą prawie 300 głosów przyjęty. Rząd ma już zapewnienie uczestnictwa od 20 rządów zagranicznych. D 19 b. m. rozpocząć się miały w Izbie rozprawy nad podatkiem od dochodu.

W Austryi p. Badeni zgadza się na powołanie do urn wyborczych — czeladzi i służby domowej. Przyjęcie, choć ze zmianami, pewne. Dla Czechów ciągła względność; trybunał najwyższy orzekł, że mowy czeskie w radzie państwa *in extenso* podane nie ulegają zaborowi policyjnemu.

Niemcy mają nowy skandal leistowski- d-r Peters, zarządzający nad Tanganyiką, kazał murzynkę, z której ciała korzystał, skatować i powiesić. Oburzenie w sejmie.

Na Kubie powstańcy walczą — ale niepomyślnie. Używają dynamitu i pocisków rozrywających. Stany Zjedn. przycichły. O Wenezuelę z Anglią podobno się już porozumiano.

W Azyi Mniejszej nowe rzezie. Na Krecie walki plemienne. Turchan basza, muzułmanin, nowym gubernatorem.

W Serbii blizkie przesilenie.

Ks. Ferdynand będzie d. 26 b. m. w Stambule. Otrzymał juz oba firmany: na księstwo Bułgaryi i na gubernatorstwo Rum. Wschodniej.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

CO NAS ZAJMUJE?

Przeniknąć upodobania ogółu, zadośćuczynić kaprysom, zachciankom i istotnym jego potrzebom umysłowym, jest to zadanie najtrudniejsze dla naszej prasy, a o wysiłkach w tej mierze najwymowniej świadczą ciągłe błyski, cienie, różnorodne barwy lub wreszcie najpospolitsza i najwygodniejsza szarzyzna, pokrywająca jej szpalty. Ta służebnica ogółu wdziewa wytarte, połatane szmaty togi uczonych, to znowu kołpaczek z dzwoneczkami; prawi słodkie monologi lub wywiesza łokciowy język plotkarki; zgina swój grzbiet spracowany pod ciężarem worków sieczki wszelakiej; raz nosi kapotę lub chałat, to znowu trzyma dyscyplinę pod połą dla smagania tłuszczy, albo w jednej garści kawałek kredy, którą kładzie kreski krzyżowe na plecach chrześciańskich, w drugiej — trochę błota, którem opryskuje tłumy wyznawców Mojżesza, ich czyny i ślady. Gdy jedna dłoń zawiedzie, druga jest w pogotowiu. Gdy kaganek zanadto kopci i czad rozszerza, zapala się wówczas świecę, a gdy ta razi — przysłania się umbrelką.

Skąd pochodzi ta różnolicowość, chwiejność i różnorodność dróg? Oto biedna prasa przez długie lata nie może się dowiedzieć, co nas zajmuje, czego chce ten ogół pstry, dziwaczny i wiecznie niezadowolony. Wyraża on to niezadowolenie albo gniewnem słowem, albo milczącym lecz groźnym protestem: — cofnięciem prenumeraty. Te pisma, któreby rade dogodzić każdemu zosobna i wszystkim razem, przechodzą najcięższe męki. Nie chcielibyśmy podzielać cierpień owych „wielkich“ dzienników, które nie mają odwagi wyszeptać nazwy organu postępowego i to swoje najhaniebniejsze tchórzostwo wobec abonentów ukrywają pod mianem „zasady,“ pomimo że w ich całym programie niema żadnych zasad, lecz tylko przypadek, poczucie „interesu,“ wysądowane z „opinii publicznej,“ wyrzucone przez fale ogółu na mocno poszarpane brzegi wysepki redakcyjnej, której najpobłażliwszy i najmniej uczony geograf społeczny nie dałby nazwy lądu *stałego*. Jeżeli współczucie przynosi komu istotną ulgę, to je posyłamy gazecie, która szukając szczęścia na oślep, zaprosiła do współpracownictwa ludzi, niezwiązanych z niczem i z nikim żadnemi zobowiązaniami i mających odwagę przemawiać bez ukrywania się za okopy; widząc potem, że „interes“ nie idzie, wyparła się tego, co oni głosili przez jej szpalty i zaczęła bić korne pokłony tym, których obraziła swą śmiałością.

Omylilibyśmy się wszakże, twierdząc, że w stosunku prasy do ogółu istnieje wpływ jednostronny. Przeciwnie — jest to oddziaływanie wzajemne, ale jedynie w granicy słabostek i nałogów umysłowych. Odbywa się tu, jak w chemii, stałość i wielokrotność stosunku. Prasa — miedź, zanurzona np. w roztworze srebrnym — publiczności, pokrywa się blichtrem, błyskotliwością, a natomiast sama oddaje temu roztworowi swoje cząstki, zabarwia go własnym kolorem.

Taki stan rzeczy tłomaczy nam poniekąd najsprzeczniejsze roszczenia czytelników, wymierzone do tych pism, które unikają szarzyzny i starają się zaglądać do głębi potrzeb ogółu. Jeżeli zsumujemy te wszystkie pretensye i zarzuty —potrzeby naszego ogółu tak będą wyglądać: Nie obchodzą go obrady i zabiegi wszystkich sekcyj Tow. przemysłu i handlu; nie obchodzi monopol wódczany ani ogrodnictwo, nudzą i irytują wszelkie sprawy rolne, przemysłowe, rzemieślnicze itd. Gdybyśmy zechcieli zadośćuczynić tym kaprysom, musielibyśmy ze szpalt pisma usunąć te wszystkie kwestye, które stanowią istotę życia i rozwoju ogólnego. Człowiek ukształcony, niezagrzebany w egoizmie swej małostkowości, bez względu na to, czy jest lekarzem, inżenierem, prawnikiem lub urzędnikiem, musi się żywo interesować tem wszystkiem, co dolega całemu społeczeństwu lub jest źródłem ulepszeń ekonomicznych. Kto ich nie lekceważy, kto głębiej do życia sięga, odczuwa każde jego tętno, ten zrozumie, że istnienie jednostki, chociażby ona stała na wyżynach nauki czystej, lub bujała w sferach piękna, jest bardzo ściśle związane z istnieniem i rozwojem prozaicznego

---

10)

LAURA MARHOLM.

KSIĘGA KOBIET.



Mija dużo lat — i widzimy Odettę znowu jako przedstawicielkę domu gry. Nie jest to dama z wyższego półświatka, a schudzona, zestarzała, pozbawiona złudzeń kobieta, którą mąż, podobnie jak ona, zgorzkniały i zestarzały, odszukuje, w celu pozbawienia jej swego nazwiska. Ona jest jeszcze tą samą śmiertelnie obrażoną kobietą, widzi wszystko tak żywo jeszcze, jakby się wczoraj dopiero stało: — czas niczego nie zatarł, niczego nie złagodził. Traktuje jego i siebie z obojętnem, lekceważeniem pełnem znużenia. głos jej jednak szorstki jest, ochrypły, i tłumiony, jakby przez wewnętrzny kurcz oburzenia, chwilami zaś wydaje tony, przypominające ryk zwierzęcia.

Potem następuje akt ostatni—widzenie się z córką. Wychodząc na scenę, wygląda na wynędzniałą, wiekową wdowę; krok ma chwiejny. jest rozgorączkowana i już w tym swoim upartym, chorobliwym pośpiechu rzucić się chce ku córce — gdy wtem widzi przed sobą młodą, niewinną dziewczynę. Ogarnia ją jakaś nieśmiałość, chowa się niejako sama w sobie, ruchem trwożliwym. Mówi, lecz w mowie znać niepewność, zawstydzenie, ramiona i plecy jej kurczą się w niewysłowionem jakiemś onieśmieleniu, niespokojne, chude rączki trzyma przy sobie w obawie, by się ku córce nie skradły. Panienka wyciąga swoje wspomnienia, gra ulubioną sztukę matki i gawędzi o „nieboszczce.“ Natenczas w niej i w nim odzywa się to, co milczało w czasie wspólnego ich pożycia, odzywa się prosty pradźwięk uczuć ludzkich. I siedzą tak daleko od siebie, własnym oddani myślom — każde z osobna płacze. A potem ona obejmuje córkę z tym wyrazem w rysach twarzy i z takiem drżeniem ramion, jakiego ani odegrać, ani naśladować niepodobna, bo zna je tylko kobieta, która sama matką była. I upaja się widokiem dziecka i głaszcze je skruszonemi, gorącemi rączkami, i znowu patrzy, poprawia na niem koronki, rąk od tego drogiego ciała oderwać nie umie i— uspokaja się. Staje się zupełnie cichą, zupełnie spokojną. A gdy przechodzi koło męża potajemnie pochwycić chce dłoń jego, aby ją pocałować. Potem zaś wyrywa się. We drzwiach ogarnia ją takie wzruszenie, że utrzymać się prawie nie może i—ucieka.

Eleonora Duse odczuwa prawdziwie tylko trudne role. Nawet w „Damie kaliowej“ gra jakby pod przymusem. Ta lekkomyślna, wesoła pani z suchotniczem pragnieniem miłości, dla niej zbyt jest lalkowatą figurą. Radość i wesołość Eleonory Duse nieme skupiają się w jej duszy; udzielającej się swawoli, niedoświadczenia grać nie umie, natura jej bowiem ciężką jest, jak życie. Sztuka Eleonory Duse jest ową wielką sztuką, która tam tylko czuje się w domu, gdzie powstaje wielkie pytanie—wszelakiego życia: skąd? dlaczego? dokąd? Płyniemy wśród mgły, doznajemy krzywd i krzywdzimy, nie wiedząc dlaczego? Fatum, fatum! Nic z tego, ani nic przeciwko temu uczynić nie możemy.,. I tam Duse jest sobą, gdzie przewiązać może oczy przepaską fatalizmu.

Dwa jeszcze rysy artyzmu Duse podnieść muszę: jak traktuje kłamstwo i jak śmierć. Wspomniałam już, że nie jest naturalistką, że postacie swoje wznosi na ciemnem tle nieświadomego swego życia wewnętrznego, nie zaś na podstawie, ulepionej ze szczegółowych cech zewnętrznych. Tak też pojmuje śmierć. Scena śmierci o tyle ją tylko zajmuje, o ile odzwierciadla życie wewnętrzne. Jako rozkładowy proces organizmu, jest jej zupełnie obojętną. Nie studyowała śmierci w szpitalach i zarówno w „Fedorze,“ jak

młynarstwa, produkcyą okowity, hodowlą nasion, ryb, uprawą warzyw, taryfami kolejowemi itd.

Cechą umysłów głębokich i prawdziwie światłych jest szczere interesowanie się tem wszystkiem, co poprawia byt całych mas. Sławny chemik Mendelejew zbadał niedawno systemy wag za granicą z nadzwyczajną gorliwością, bo wie on dobrze, iż rzetelność ważenia usunie chociaż w drobinie niesumienność handlu, przynoszącą krzywdę ogółowi spożywców. Utalentowany nowelista Szymański rozprawia z gruntowną znajomością o siewach rzędowych i gorąco zaleca ziemianom ulepszenia w tej mierze. Andriolli z chciwością gorączkową chwytał każdą wieść o udoskonalonych żniwiarkach, młocarniach, sieczkarniach, młynach, o postępach w hodowli inwentarza, chociaż sam nie miał z tem wszystkiem do czynienia; wiedział tylko, że ten postęp kultury i techniki oddziała na byt społeczeństwa. Znamy prawnika, który czynnie popiera Towarzystwo pszczelniczo-ogrodnicze, bo wie, że ten odłam pracy, należycie pokierowany, może w części polepszyć dobrobyt ogólny. Adolf Suligowski, pomimo że mu dużo czasu pochłania również zawód prawny, bezustannie śledzi ogólny byt ekonomiczny, martwi się jego niepowodzeniem lub cieszy rozwojem, nie skąpi czasu i kosztów na rozgmatwanie zawiłości taryfowych, od których właściwego usystematyzowania zależą interesy wszystkich warstw społecznych. Znamy wreszcie takich, których zawód nie ma nic wspólnego ani z produkcyą spirytusu, ani całem rolnictwem, a jednak wieść o monopolu wódczanym bardzo ich zajęła, bo pojmują oni wybornie tę doniosłość chwili przełomowej w systemie gospodarki gorzelniczej, wiedzą, że wczesne zabiegi mogą poprawić byt setek i tysięcy ludzi, a opieszałość — zachwiać ich podstawy. Oddział Tow. przemysłu i handlu w przekonaniu ludzi nie dotkniętych ciasnotą pojęć, nie pokrytych łuską sobkostwa, jest niezmiernie ważnem ogniskiem spraw ogólnych ekonomicznych, za którego pośrednictwem kraj może dużo zyskać. Nie posiada ono jednak promieni, sięgających do najdalszych zakątków, bo 800 członków wogóle, a 200 sekcyi rolnej, nie mogą jedynie za pośrednictwem swych obrad zsolidaryzować pracy ekonomicznej społeczeństwa.

Ten odłam prasy, który nie chce bawić swoich czytelników wiadomościami, jak cesarz Wilhelm telegrafuje lub telefonuje, co Dumas jadał i co opowiadał reporterom, gdzie przebywa Adelina Patti i jakich śpiewaków oczekujemy w sezonie bieżącym, — ten właśnie odłam wziął na siebie bardzo niewdzięczną, lecz niezmiernie ważną rolę pośrednictwa — przesyłania owych promieni, prześwietlających ściany naszych instytucyj ekonomicznych i grube mury zaściankowości w rożnych zakątkach kraju. I trzeba przyznać, że pod tym względem pisma niejedną już usługę ogółowi wyświadczyły, niejedną też dały wskazówkę instytucyom publicznym, a nawet przyczyniły się do stworzenia różnych organizacyj społeczno-ekonomicznych.

Gdybyśmy tedy chcieli uwierzyć, że głosy tych niezadowolonych, których nie obchodzą lub nudzą doniosłe sprawy ogólne, są wyrazem opinii większości, toby się nam przedstawiły bardzo smutnie i mizernie liczne rzesze, poszukujące w prasie tylko lekkiego deseru dla umysłu po posiłku fizycznym. Musielibyśmy przyjść do wniosku, że to społeczeństwo po za karyerą jednostek nie widzi żadnych celów, zmierzających do podniesienia ekonomicznego mas całych, że po za garstką ludzi, uprawiających pracę „wyzwoloną“ lub przedsiębiorczą, albo opierających swój byt na odsetkach funduszu dziedzicznego, stoją całe tłumy, chciwie zaglądające do przedsionków różnych biur, żebrzących o kawałek krzesła i stolika na opórcie ręki po łokieć. Należałoby uwierzyć, że to społeczeństwo nie czuje wcale potrzeby pracy samodzielnej, zsolidaryzowanej i produkcyjnej, że własny poletek zajęć i obowiązków danej grupy jest dla niej całym obszarem działalności; że o tyle owych ludzi zajmują zjawiska i sprawy życia ogólnego, o ile przedstawia ono pole wyścigowe, kasę totalizatorską, stolik zielony, no i wreszcie coś „ze świata“ lub lekkiej literatury, służącej dla rozrywki; coś ze streszczeń owoców pracy umysłowej, której przestudyowanie w całym ogromie pochłonęłoby dużo czasu i utrudziłoby zanadto.

Na szczęście jesteśmy pewni, że tak źle nie jest, że niezadowoleni z oświetlenia tego, co stanowi rdzeń warunków naszej pracy produkcyjnej lub z pobudzania do wynalezienia nowych jej źródeł — tworzą zaledwie gromadkę ogółu wykształconego.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Nowa reforma wyborcza.—Zmiany w ustawie wyborów do Rady miasta.—Kasa chorych. — Kongregacya kupiecka.—Krajowa Rada zdrowia.—Szkoła położnych.—Popularne odczyty z hygieny. — Kuchnia akademicka.—Lekarska bibliografia polska.

Wielką krzywdę prezydent ministrów wyrządził miastu projektem reformy wyborczej, przedstawionym parlamentowi. Przy wyborze z nowej kuryi głosowania powszechnego Lwów stanowić będzie osobny okrąg, Kraków wcielono do jednego z Liszkami, Chrzanowem i Jaworznem; Lwów będzie miał swego przedstawiciela; Kraków w nowym systemie jest zrównany pod tym względem z małemi miasteczkami Galicyi. O krzywdę tę upominają się radcy miasta w podaniu, wniesionem do Rady państwa; proszą oni, aby miasto wraz z okręgiem sądowym Kraków i Liszki bez powiatów sądowych: Chrzanów, Jaworzno i Krzeszowice, zaliczono do okręgów miejskich, głosujących bezpośrednio. Równocześnie komisya statutowa Rady miejskiej zatwierdziła znaczne

---

i w „Damie kameliowej,“ prędko się z nią uporała. W pierwszej sztuce podkreśliła tylko nagłe, krótkie postanowienie zażycia trucizny, w drugiej—radość z tego powodu, że przy ukochanym gaśnie.

Z jakąż prawdą gra Duse kłamstwo! Kłamstwo, przewrotność jej ujmują, przekonywają, są jakąś cząstką wyobraźni, jak u dziecka. W kobiecie, która z tylu przeciwieństwami walczyć musi, są pierwiastkiem integralnym, bronią są, której używa z rozkoszą, z nadzwyczajną uprzejmością i z przebiegłem przymileniem. Nie rozumiejąc nawet tekstu, poznać można po Duse, kiedy kłamie i taka jest wtedy przedziwnie żywa, takie ma wielkie, przekonywające oczy i taką potoczystą, bogatą wymowność.

A więc — *summa summarum?* Eleonora Duse odbywa jedną wycieczkę artystyczną za drugą. Wciąż podróżować, wciąż grać będzie, jak wszystkie jej poprzedniczki. Znuży ją to, niewymownie ją to znuży— lecz sceny nie porzuci. I stała się taką samą wirtuozką, jak inne.

Czy jednak tą samą zostanie? Technikę ma nadzwyczajną, lecz treść artyzmu jej prosta jest: składają się na nią melancholia i godność. Czy w niezliczonych powtórzeniach przechowa się ten drżący, zasadniczy ton jej natury kobiecej? Dlatego to z wysiłkiem starałem się uchwycić najodrębniejsze rysy jej istoty—dziś bowiem Duse jest jeszcze jednolitą całością. Nie posiada ona natury masywnej, która zawsze do sił wraca i przez wszystko przebrnąć może. To co daje, na jedną nastroiła nutę, nastroiła artyzm swój na nutę wewnętrznej intensywności, która dotychczas w grze aktorskiej dodatkiem tylko była. Duse jest geniuszem kobiecym na scenie.

Wyrazu „geniusz“ używają teraz w dwojaki sposób: lekkomyślnie, albo niechętnie. Obdarzają nim każdego krzykacza, albo też odmawiają go zupełnie. Powszechnie uznają, że są, były i będą geniusze śród aktorów. Nie zauważyłam atoli, aby ktokolwiek zaznaczył różnicę między genialnym aktorem, a genialną aktorką.

Dlatego może nikt różnicy tej nie zaznaczył, ponieważ w samej rzeczy mało się od siebie różnili. Bohater był mężczyzną, bohaterka—kobietą, personel męski i żeński do ról „starych“ bywał komiczny, albo płaczliwy, przedstawiciele i przedstawicielki ról charakterystycznych byli zazwyczaj złymi ludźmi. Różnice polegały na zewnętrznych cechach ubioru, zachowania się i głosu; widziano na scenie kobietę, wnioskowano tedy, że przedstawi uczucia kobiece; uznawano tradycyę, według niej więc aktorka kształciła się na wzorach męskich, deklamowała i rozpaczała, jak mężczyzna, używając nawet znanych tragicznych kroków. Scena wyprowadzała typy, nie zaś indywidualności i nie spostrzegła, aby największo nawet aktorki starszej szkoły od prawidła tego odstępowały.

W sztukach salonowych kładziono nacisk na obserwacyę życia, tj. dana aktorka musiała być przedewszystkiem damą; granica uczuć damy z konieczności i jej uczuć musiała być granicą. Aktorce zaś dramatycznej i salonowej zależało przedewszystkiem na tem, aby się dobrze wydała.

Eleonorze Duse bynajmniej na tem nie zależy. Idzie jej jedynie o odtworzenie uczucia, nastroju wewnętrznego, który opanowała, tajemnicy natury swojej, jako kobiety-tajemnicy, którą wypowiedzieć musi. Nie gra realistycznie, tj. nie stara się o wywołanie wstrząsającego wrażenia prawdziwością gry wogóle. Wrażenie takie osiągnąć się daje najłatwiej za pomocą objawów patologicznych, jak kaszel, kurcze, konanie, obłęd, dreszcze rozkoszy itp.—ponieważ najłatwiej odegrać się dają i działają bezpośrednio. Nie dla niej to stworzone:—jest to ogólna sztuka aktorska dla obu płci. Duse wyrazić chce tylko *własną swoją duszę*, własną istotę kobiecą, zupełnie indywidualną wibracyę ciała i duszy swojej. Musi tedy być sobą, tj. zupełnie naturalną. Skąd ma te ruchy, tę intonacyę, te własne swoje, sztuką nie

zmiany w swojej ustawie wyborczej: obecnie po długich naradach i dyskusyach przyjęto wniosek, rozszerzający prawo zasiadania w gronie Rady miasta do najszerszych kół inteligencyi i obywatelstwa: prawo biernego wyboru mają więc wszyscy urzędnicy płatni ze skarbu publicznego i krajowego, z wyjątkiem miejskich w czynnej służbie, oraz dzierżawców majątku gminnego i dostawców gminnych, wszyscy profesorowie i nauczyciele.

Wyborom i kwestyom wyborczym niema końca, dziś partye robotnicze i przemysłowe w przededniu są nowych wyborów do Kasy chorych; już się one odbyły w swoim czasie. ponieważ jednak większością głosów przeszedł kandydat niemiły ojcom miasta, unieważniano ten wybór i zmieniono po części statut.

Niezależnie od tych burzliwych starć i walk, odbyło się walne zgromadzenie „Kongregacyi kupieckiej“ cicho i spokojnie: członków wszystkich liczyła ta instytucya w r. ubiegłym 66, z tych 63 czynnych, a 3 nieczynnych. Wydział postarał się o korzystne warunki ekspedycyi przesyłek towarowych z Wiednia i Tryestu; brał udział w uregulowaniu wypoczynku niedzielnego. W tym celu zaproponowano podział kupców na dwie kategorye: 1) towary korzenne i artykuły spożywcze i 2) galanteryjne i bławatne. Pierwsze mają być otwierane w niedzielę dwa razy, tj. od 7 do 10-tej przedpołudniem i popołudniu od 5 godziny do 8-mej; inne od 6-tej do 12 w południe. Kongregacya zasila szkołę hadlową kwotą 300 zlr. rocznie. W ubiegłym roku korzystało z niej 48 uczniów, zatrudnionych u członków; wychowańcy nie niszczają żadnych opłat, korzystają bezpłatnie z bibliotek, oraz otrzymują podręczniki fachowe. Statut stowarzyszenia, wydany w r. 1890. jest niedostatecznym, wymaga reform odpowiednich do zmienionych warunków i interesów handlowych, jakoteż rozszerzenia dotychczasowych ograniczeń w zakresie przyjmowania członków. W nowym projekcie zapewniono należenie kobietom, wdowom po członkach lub samoistnie prowadzącym interesy, w charakterze członków uczestników. Prowadzącym samoistnie handel na rachunek osób trzecich zapewniono przyjęcie na członków rzeczywistych. Zniżono opłaty na wpis uczniów i pomocników. Uporządkowano archiwum, przedstawiające stosy bezładne aktów od XVII stulecia do 1860 roku; posiada ono wiele cennych dokumentów, dotyczących kongregacyi i tak zwanej Archikonfraternii kupieckiej przy kościele św. Barbary i stanowi ważny materyał dla kupiectwa krakowskiego. Z oryginalnych dowodów znajduje się: przywilej nadany przez Augusta II, Augusta III, Stanisława Augusta i Fryderyka Augusta, króla saskiego, między innymi są tam też dokumenty oryginalne. opatrzone podpisem i pieczęcią, wydane przez Sołtyka, ks. Siewierskiego, biskupa krakowskiego, wreszcie księgi protokółów Kongregacyi. Znajdą one pomieszczenie obok zabytków cechów krakowskich w archiwum dawnych aktów Krakowa.

Krajowa Rada zdrowia na ostatniem posiedzeniu przedstawiła kandydata na posadę docenta hygieny i somatologii w seminaryum nauczycielskiem w Krośnie, rozprawiała nad projektem ustawy, urządzającej stosunki prawne szpitalów prowincyonalnych, nad zaprowadzeniem okręgów akuszeryjnych, utworzeniem okręgów sanitarnych w niektórych powiatach; uchwały te i obrady są w znacznej części wyrazem życzeń. Do spełnionych pragnień w tym względzie zaliczyć możemy utworzenie samoistnej szkoły położnych w Krakowie. Ministeryum wyznań i oświaty poleciło otwarcie jej w połowie oddziału ginekologicznego szpitala św. Łazarza. Dyrektor szpitala oddał to pomieszczenie profesorowi Marsowi, kierownikowi powyższego zakładu. Szkoła posiada 27 łóżek dla położnic i 6 dla chorych kobiet. Do pomocy dano prof. Marsowi asystenta i jednę położną. Wykład ma się odbywać w sali prof. Rosnera do czasu, póki nie będzie wybudowany zakład położniczy. Uczenic na bieżący rok szkolny zapisało się 87.

Od paru lat urządzano co niedzielę odczyty popularne przeważnie z dziedziny historyi, w tym roku ogłoszono seryę wykładów z hygieny o tematach następujących: 1) Zapobieganie chorobom zaraźliwym; 2) jakie pokarmy i napoje są najzdrowsze; 3) jak należy urządzić pomieszkanie, aby uniknąć chorób; 4) o napojach alkoholowych i tytoniu; 5) jak ratować w nagłych wypadkach zachorowania; 6) znaczenie wodociągów i kanalizacyi w miastach. Wykładał profesor Bujwid; sala odczytowa za każdym razem przepełniona była słuchaczami; znaczną ich część stanowili wieśniacy.

Nowością również bardzo pożądaną jest „kuchnia akademicka.“ Oddawna, bo już przed ośmiu laty, myśl tę podjęto i uchwalono na posiedzeniu Towarzystwa bratniej pomocy uczniów wprowadzić ją w czyn; uchwała jednak przez lat tyle nie mogła być wykonaną, gdyż i ta sprawa stała się „polityczną“ i napotkała przeszkody ze strony władz uniwersyteckich. Senat przez usta swego kuratora odradzał młodzieży otwarcie kuchni, przepowiadając straty materyalne; młodzież, lękając się naruszyć fundusze Towarzystwa wzmajemnej pomocy (które, nawiasem mówiąc, nie są tak bardzo małe, wynoszą bowiem około 88,000 zlr.), szła za radą starszych. W tym roku dopiero część młodzieży, zebrawszy skromny kapitalik z pożyczek prywatnych i darów, zajęła się wykonaniem projektu: otwarto kuchnię, a wyniki już w pierwszym miesiącu jej istnienia są tak zachęcające, że sądząc z tego, Towarzystwo wzajemnej pomocy, nietylko nie narazi się w przyszłości na straty, ale może liczyć na pewne zyski. Obiadów zakład ten wydaje 160 dziennie, — jedzenie jest zdrowe, czysto przyrządzone, akademicy usługują sobie nawzajem. Dotąd jest to przedsiębiorstwo prywatne niejako, ma być jednak oddane pod zarząd Towarzystwa wzajemnej pomocy.

Na innych polach młodzież akademicka objawia także żywotność swoją: prawnicy związali się w stowarzyszenie. Dawniej istniejące już „Kółko medyków krakowskich,“ opracowywa lekarską biografię polską; w dziele tem autorowie zamierzają przedstawić rozwój sztuki lekarskiej w dawnej Polsce i jej działalność w ciągu XIX wieku; ma się ono ukazać za lat pięć. *Ar.*

Z AUSTRYI.

Wiedeń, 15 marca.

Antisemityzm i jego brutalstwo. — Uchwała związków akademickich. — Studya lekarskie. — Zamach na nauki przyrodnicze. — Przebudowanie instytutów naukowych. — Komisya do zbadania sprawy robotnic. — Wykluczenie Lewakowskiego. — Intrygi w Kole i ich możliwe następstwa.



Chyba do najostrzejszych trzeba zaliczyć przesilenie, jakie przeżywa Wiedeń i Austrya. W każdem

---

podrobione, lata. których zrosztą ze sceny nie widać; ciało jej bowiem jest dla niej tylko instrumentem, odtwarzającym drgania jej duszy kobiecej.

Co to jest geniusz? Pod wyrazem tym rozumiano dotychczas zawsze nadmiar— tj. większą w stosunku do ludzi przeciętnych, objętość i wyższy rozwój umysłu, wyobraźni i namiętności razem wziętych, z przeważającą jednak cechą skłonności duchowych. Genialność była przymiotem męskim, kiedy zaś mówiono o genialności kobiety, rozumiano pod nią mniej więcej to samo, co uderzało w geniuszu męskim. Było to właśnie bardzo jeszcze grube pojęcie. Bywa naturalnie i geniusz niewieści, kobieta genialna najmniej jednak do mężczyzny podobna. Jest natenczas przedewszystkiem kobietą, jest twórczą bezpośrednio i twórczość swoją czerpie ze źródła kobiecości, z uduchowionej swojej zmysłowości. Taką twórczość posiada Eleonora Duse.

Kobieta twórcza jest zawsze prawie pisarką lub aktorką, tj. szuka najprostszych, najbezpośredniejszych i najłatwiejszych pod względem technicznym form, za których pomocą uzewnętrznić może swoje życie wewnętrzne. Kobiecie trzeba szybkiej przemiany drgań wewnętrznych, gdyż szybko zmieniają się też krótkie fale jej impulsów. Największa liczba kobiet czuje pociąg do sztuki aktorskiej, niczego nie zrzeka się z taką trudnością, jak sceny. Dlaczego? Pomińmy próżność i inne popędy, ze światem zewnętrznym związane, a przedstawmy sobie taką Duse. Wylewa na scenie łzy prawdziwe, czuje prawdziwe psychiczne, a może i fizyczne bóle, broni i raduje się naprawdę.

Pomińmy skłonność do autosuggestyi i wrażliwość nerwów i zapytajmy: czego szuka kobieta na scenie?

— Wrażeń.

Natura twórcza nie może istnieć wśród jednostajności codziennego życia. Prawdziwe życie jest jednostajnością. Jednostajnością w miłości, w zajęciach, w rozkoszach i cierpieniach. Nadmiar zaś sił żywotnych wytwarza popęd do przerwania owego pół-snu bytu codziennego. Taka siła żywotna może być mniej lub więcej zindywidualizowaną. Będąc zupełnie zindywidualizowaną, szuka ujścia w pisarstwie lub sztuce aktorskiej. Ta ostatnia znów najlepiej odpowiada tej formie udzielania się, jaką nad inne przekłada kobieta. Jednostka, która poznała tego rodzaju wrażenie, zwłaszcza tragiczne, rozstać się już z niemi nie umie. Żyje bowiem w nich z taką intensywnością, jakiej w zwykłem życiu doznaje tylko w najrzadszych, wielkich chwilach. Natenczas nie doznaje jej świadomie. Te zaś fikcyjne wstrząśnienia, które jednak fikcyą nie są, gdyż na wszystkich grają nerwach, czuje za pomocą jakiejś dziwnej pod-świadomości; żyje własnem życiem w dreszczach wyswobodzonych drgań duszy, żyje w rozlicznych wrażeniach refleksyjnych, wreszcie w późniejszem zupełnie prawdziwem znużeniu. Istnienie, które dla większości kobiet jest nawpół świadomem wyczekiwaniem zdarzenia nigdy nie istniejącego. albo też ciężkim jej dniem roboczym, dla aktorki bywa życiem zdwojonem, pełnem barw płomiennych, gorących — pełnem barw bólu i rozkoszy. Czego inne kobiety nie mogą lub na co sobie nie pozwalają— ona może: każde drganie wewnętrzne wyprowadzi aż do końca, całą skalę uczuć kobiecych przetrawi i przeżyje. Ponieważ rozkosz ta jest zawsze nawpół-prawdą, nawpół zaś złudzeniem, ponieważ po nadzwyczajnem napięciu sił wytwarza się zawsze próżnia, zatem wielkie aktorki są zarazem wielkiemi pesymistkami. przeto może słodka twarzyczka Duse napiętnowana jest takiem chorobliwem znużeniem i pragnieniem beznadziejnem. Lecz owe gorące barwy bólu i rozkoszy wabią z jednaką zawsze mocą i dlatego wielkie aktorki dramatyczne nie mogą rzucić życia scenicznego; atoli stopniowo, zwolna intensywność wewnętrzna słabnie, barwy stają się coraz więcej blade i sztuczne.

życiu społecznem ścierają się grupy i stronnictwa, nigdzie jednak to starcie nie przybiera tak grubej, po prostu zwierzęcej formy, jak obecnie tutaj.

Nie po raz pierwszy jestem świadkiem zaciętej walki; przyglądałem się tym stosunkom w innych państwach; wszędzie jednak nie zapominano o szacunku, jaki należy się człowiekowi, nie deptano i nie mieszano z błotem godności ludzkiej. Dziś w Wiedniu zapomniano zupełnie o godności ludzkiej. Antisemityzm przybrał postać, która przestawszy już dawno być wyrazem walk politycznych, stała się objawem brutalności, o jakiej chyba tylko w wiekach średnich miano pojęcie. Przejawia się ona wszędzie, zarówno w parlamencie, jak w życiu prywatnem. Pewien poseł antisemicki, a więc jednostka inteligentniejsza, opowiada z cynizmem publicznie, iż w wagonie, którym jechał, było trzech Żydów i jeden człowiek — a publiczność bije mu brawo. Prasa zapomniała już dawno o tem, że cudzy ból i stosunki prywatne powinny być uszanowane. Z radością podchwytuje ona np. fakt, iż córka redaktora żyda uciekła z kimś od rodziców. Od tej zarazy nie uchroniła się nawet młodzież akademicka, która dotychczas była wszędzie przedstawicielką idealizmu, zachowywała pewną czystość uczucia. Stowarzyszenia niemieckie przyjęły uchwałę, iż na przyszłość ich członkowie będą wszystkim studentom Żydom odmawiać satysfakcyi, gdyż żyd nie może mieć poczucia honoru, wrodzonego Aryjczykowi. W innych warunkach fakt, iż pewna ilość studentów nie chce się pojedynkować z grupą innych, byłby śmiesznym; w obecnych jest wstrętnym, bo odsłania nastrój mas. Senat uniwersytecki, który tym razem odezwał się dość szybko, przytłumi całą sprawę, nie zmieni jednak stosunków. *Laissez faire — laissez passer* — oto właściwie wszystko, co można zrobić. Życie społeczne nie daje się jeszcze dowolnie regulować, pomimo że daje się do pewnego stopnia tamować. Tej tamie, jaką chciano położyć przez rozwiązanie rady gminnej, należy w znacznej mierze przypisać przejawy brutalności.

Przed kilku miesiącami staraliśmy się nakreślić w krótkich słowach czynniki, jakie złożyły się na tutejszy antisemityzm. Czynniki te nie zmieniły się, nacisk z zewnątrz, który miał stłumić ruch, powiększył go tylko: w miejsce poprzednich 92, obecna rada gminna posiada 96 antisemitów. Pierwiastek rozkładowy musi wyjść z łona samego ruchu i nie omieszka on się objawić, gdy antisemici będą musieli wziąć się do pracy praktycznej. Łatwo jest obiecywać, zaspokoić jednak żądania niezadowolonych, zwłaszcza gdy one są wręcz sobie przeciwne — daleko trudniej.

Antisemityzm tak pokrywa wszystko, iż pod tą skorupą trudno dopatrzeć się objawów dodatnich. Należy do nich zaliczyć znowu podniesioną sprawę ukształcenia medycznego. Jest to zdaje się ogólną wadą tych studyów, iż młody człowiek opuszcza uniwersytet z prawem leczenia, lecz z bardzo małemi wiadomościami praktycznemi. Stosunki te jednak w Wiedniu są typowe. Student tutejszy po zdaniu egzaminu nie umie prawie nic w swym zawodzie, gdyż cała jego wiedza składa się z formuł teoretycznych, których on nie potrafi zastosować. Pojmują ten brak sami medycy, gdyż każdy z nich stara się po ukończeniu wydziału rok lub dwa poświęcić na pracę w szpitalu. W ciągu tego dopiero czasu może on uzupełnić o tyle swe wiadomości, iż nie naraża życia pacyentów. Mówiono już o tem oddawna. Obecnie powstał projekt zniesienia zupełnie studyów przyrodniczych a rozszerzenia zajęć praktycznych. Jedna więc krańcowość zastąpiłaby drugą. Medyk, pozbawiony podstawy przyrodniczej, musiałby zostać zwykłym rzemieślnikiem, nieposiadającym podstaw, pozwalających mu myśleć samodzielnie *).

Nareszcie postanowiono przebudować tutejsze instytuty naukowe. Pomimo iż obecnie mniej do nich uczęszcza Polaków, jednak wielu jeszcze chętniej wyjeżdża do Wiednia, niż do innych miast niemieckich. Warunki pracy są tu wogóle przyjemne, natomiast większość zakładów naukowych urąga wszelkim wymaganiom hygieny i wygody. Do parlamentu też wniesiono żądanie kredytu na 900,000 złr. Pieniądze te mają być użyte na przebudowanie instytutu fizyologicznego, histologicznego, hygienicznego, oraz stworzenie nowej katedry fizyologii.

Sprawa dopuszczenia kobiet do studyów uniwersyteckich, narobiwszy dość dużej wrzawy, ucichła; wystąpiła zaś na widownię kwestya robotnic, ich zapłaty i warunków pracy. Dzięki inicyatywie posła Pernerstorfera, utworzono komisyę, która zajęła się zbadaniem tego przedmiotu. Rezultaty, które wystąpiły zaraz na pierwszem posiedzeniu, przeszły nawet najpesymistyczniejsze oczekiwania. Dość powiedzieć, że średnia płaca kobiety wynosi w większości gałęzi przemysłu 2—3 złr. *tygodniowo*. Ażeby ocenić jej nizkość, trzeba wiedzieć, że kilo mięsa w Wiedniu kosztuje 1 złr. O tej komisyi pomówimy później, gdy ona swe zadanie ukończy. W porównaniu z nią łatwiej będzie oszacować także nowy projekt ustawy rzemieślniczej, który powinien wkrótce stać się prawem.

W Kole polskiem parlamentu wiedeńskiego zaszedł fakt niezmiernie doniosły ze względu na swe następstwa. Wykluczyło ono ze swego grona posła dr. Lewakowskiego dzięki intrygom, zwłaszcza Abramowicza. Faktyczny stan rzeczy przedstawia się w następujący sposób. Antisemici interpelowali ministeryum z powodu nielegalnego zabronienia zebrania, wyrażając jednocześnie nadzieję, iż rząd będzie czuwał nad tem, aby prawa były uszanowane przez władze administracyjne. Podczas głosowania Lewakowski oświadczył się za przyjęciem interpelacyi, posłowie polscy — przeciw. Zaraz potem zebrała się grupa posłów i postanowiła usunąć Lewakowskiego z Koła, motywując uchwałę tem, iż naruszył on ustawę. Już sam pośpiech sprawił wrażenie, gdyż tego samego jeszcze wieczora rozesłano komunikaty do pism wiedeńskich, z których Lewakowski dopiero dowiedział się o swem wyłączeniu.

Na zasadzie ustaw Koła, nie wolno jego członkom głosować wbrew uchwale w kwestyach, co do których ono ją powzięło. Lewakowski rzeczywiście złamałby statut, gdyby jakakolwiek decyzya Koła istniała. Ale jej nie było — a więc ten motyw wykluczenia nie istnieje.

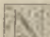
Całe to zajście rzuca dość silne światło na stosunki panujące w Kole. Oddawna już Lewakowski był dlań niewygodnym. Rozmaitymi sposobami usiłowano go skompromitować. Gdy inne środki zawiodły, chwycono się obecnego. Jakie on stanowisko zajmie nadal — trudno przewidzieć. Decydować tutaj będą wyborcy m. Lwowa, których jest przedstawicielem. Jedno z pism tamtejszych radzi mu całą swoją działalność zwrócić ku wykryciu różnych intryg Koła i zdyskredytować pośrednio większość rządową. Jeżeli Lewakowski rady tej usłucha, a właściwie jeżeli drogę tę uznają za dobrą wyborcy, to fakt wykluczenia go z Koła może się odbić na całym biegu polityki państwowej. Bądź co bądź, zwrócił on już w Galicyi uwagę na machineryę Koła i już to samo może wobec zbliżających się wyborów mieć znaczny wpływ, tem większy, iż nowe wybory odbędą się na zasadzie nowej ustawy, a wskutek tego przyjmą zupełnie inny charakter.

D. M.

*) Usunięcie nauk przyrodniczych z wykształcenia lekarskiego byłoby czemś tak felczerskiem, że wątpimy, ażeby ono mogło nastąpić zwłaszcza w epoce, kiedy medycyna znowu silnie przechyliła się ku tej dziedzinie. *Red.*

PAMIĘTNIK.

Nowe promienie.



Nie zawiadamialiśmy czytelników o dalszych postępach odkrycia Rontgena, gdyż właściwie ani znacznych ulepszeń w niem nie dokonano, ani nowych ważnych korzyści zeń nie wydobyto. Tu i owdzie zrobiono tylko drobne poprawki bądź w przyrządach, bądź w zdjęciach fotograficznych, dzięki którym obrazy odbijają się wyraźniej; tu i owdzie również pomnożono nieco ilość przedmiotów, użytych do doświadczeń. Dotychczas wszakże fotografie rąk, szkatułek drewnianych z klejnotami itp. stanowią główne koło, w którem obracają się próby. Naturalnie reporterzy pism codziennych, którzy zawsze lecą przed uczonymi, rozkrzykując dziwy o każdym nowym wynalazku i odkryciu, donieśli, że za pomocą promieni Rontgena będą odczytywane listy bez otwierania koperty, badane nowotwory i zwyrodnienia wewnętrzne itd., co wszystko razem nie ma odrobiny sensu i nie liczy się zupełnie z faktami i ich logiką. Jedynem poważniejszem zastosowaniem tych promieni w medycynie są dotąd odbitki złamań kości i rzeczy metalicznych (kul, igieł, gwoździ), tkwiących w ciele ludzkiem. I zdaje się, że w tej dziedzinie trudno będzie posunąć się dalej. Natomiast według słusznej uwagi (we *Wszechświecie*) p. W. Biernackiego, odkrycie Rontgena może oddać wielkie usługi przemysłowi. Mianowicie ponieważ rozmaite metale okazują rozmaitą przepuszczalność promieni X, różnica ta uwydatni się na zdjęciach fotograficznych. P. B. zamieszcza odbitkę blachy mosiężnej, w której powiercono otwory i zalano je cyną z ołowiem. Pomimo że blacha ta, dla ujednostajnienia jej grubości, była przewalcowana i pokryta dość grubą warstwą miedzi, łaty wystąpiły na obrazie pod postacią plam ciemniejszych. W Wiedniu zaczęto już badać w ten sposób spoistość nietylko blach, ale szyn kolejowych itd. Jest to już bardzo wiele. Pragnęlibyśmy znacznie więcej, ale nie trzeba narzucać zbyt wygórowanych pretensyj zdobyczom nauki, która zawsze daje tylko tyle, na ile ją stać, a nie ile od niej żądamy.

Szczęśliwcy.

Odkrycia, dokonane podczas spisu jednodniowego, rewizye policyjne, wreszcie nasze własne obserwacye, wszczepiły w nas to przekonanie, że stróże domów w Warszawie należą do istot godnych litości i poprawy losu. Zdawało nam się, że chyba tylko goście przytułków noclegowych mogą zazdrość doli tym biedakom, którzy wraz z rodzinami mieszkają w ciasnych norach lub klatkach przy dołach ustępowych, którzy oddychają powietrzem gaszącem płomień a dość gęstem dla utrzymania siekiery, którzy za pracę przez cały dzień a czuwanie przez całą dobę pobierają 8—10 rs. miesięcznie od gospodarza i „co łaska" za otwieranie bramy od lokatorów. Tymczasem p. F—y (w *Tygodniku ilustrow.*) nietylko uwalnia nas od tego przykrego złudzenia, ale w owych rzekomych biedakach ukazuje nam szczęśliwców, budzących zazdrość w niejednym literacie. Posłuchajmy:

„Warszawski „pracownik miotły," nad którego nieszczęsnym losem niedawno jeszcze „pra-

cownicy pióra" roztkliwiali publiczność, jest w rzeczywistości—względnie do swych uzdolnień, potrzeb (!) i pracy (!) — jegomością, posiadającym dobre, częstokroć bardzo dobre utrzymanie. Zarobek stróża w większej kamienicy wynosi od *50 do 100 rs. miesięcznie*. Głównem źródłem tego zarobku jest rzecz z pozoru drobna: dziesiątki otrzymywane za otwieranie bramy. ." Do tego źródła dołączają się zarobki z usługi kawalerom, kolęda, wynagrodzenia za przeprowadzkę itp.

Wobec takich dochodów, konsekwentną jest rada p. F—y, ażeby projektowaną służbę do utrzymywania ulic w porządku zaprowadzić kosztem stróżów, a nie gospodarzów.

Jeżeli po przeczytaniu tej pięknej socyologiczno-ekonomicznej nowiny wszyscy kandydaci do biur kolejowych, błagający o posady 300-rublowe lub literaci, wzdychający do swojej kasy, nie zasypią kamieniczników prośbami o miejsce stróżów, to chyba ich od zwrotu na drogę tej karyery powstrzyma... jedno z działań arytmetycznych. Mianowicie obliczą oni sobie, że gdyby się dostali nawet do największego domu i gdyby tylko 50 rs. miesięcznie otrzymywali z dziesiątek, musieliby trzydzieści kilka razy na noc otwierać bramę, co zdarzałoby się zapewne nader wyjątkowo. A gdyby się czasem zdarzyło, to znowu najchciwszy amator dziesiątek przekonałby się po jednej próbie, że być przez całą noc budzonym i wylatywać do zimnej bramy, gdzie nieraz pijany lokator rzuci w nagrodę potok brutalnych wymysłów za kilka lub kilkadziesiąt „dysek" — nie stanowi zajęcia tak ponętnego, ażeby na nie chciał zamienić swoją dolę pies pokojowy. Pewien sławny z procesów kryminalnych właściciel jednego z największych domów w Warszawie, chcąc się osobiście przekonać o dochodach stróża, któremu pensyi płacić nie chciał, zastąpił go na noc przy bramie; w rezultacie otrzymał pięć dziesiątek i raz w papę. To był cały dochód z otwierania bramy. Kto nie wierzy — niech dalej wypróbuje. Tymczasem dla przestrogi dodamy, że miasta krajów najbardziej ucywilizowanych już dawno zniosły obsługę nocną stróżów przy bramach jako zbyt uciążliwą dla ludzi.

Zagadka.

Now. Wremia pomieściło artykuł o wielkich zyskach fabrykantów łódzkich, którzy w tejże gazecie wyparli się „karkołomnych skoków w dywidendach." Według tego sprostowania „w *najpomyślniejszych* latach dywidendy fabryk bawełnianych łódzkich nie przewyższały 10%." Nie mają zaś one ani powodu, ani możności układania bilansów sztucznych, gdyż akcye nie są notowane na giełdzie, a prawidłowości sprawozdawczej pilnują urząd gubernialny do spraw fabrycznych i izba kontrolująca warszawska.

Nie będąc żadną z tych władz i nie mogąc nawet przez szparę śledzić tajemnych robót „Manchesteru niemieckiego," zwanego ironicznie polskim, nie rozstrzygamy, w jakiej odległości od dwu sprzecznych mniemań — *Now. Wremi*, *Łodz. Listka* i *Bulletin russe de statistique finan.* z jednej a bilansu fabrykantów z drugiej strony — leży prawda. Pozwolimy sobie tylko postawić czysto teoretyczne pytanie: jeśli „w najpomyślniejszych latach dywidendy bawełnianych fabryk łódzkich nie przewyższały 10%," jakim cudem niektórzy, będąc zwyczajnymi robotnikami, majstrami lub kantorowiczami, w krótkim czasie przemienili się na milionerów. O ile nam wiadomo, taki np. p. Poznański był stosunkowo niedawno biednym dorobkiewiczem, a dziś! Nawet 10,000 rs.—a jest to kapitał, z którym tylko niewielu fakrykantów łódzkich rozpoczynało swą karyerę — po 20—30 latach przy 10% dywidendy nie da milionów. Zatem widocznie ta dywidenda (a może zysk inaczej się tu nazywa?) była znacznie większa. Co do braku interesu w sztucznem zmniejszaniu jej, to chyba podatek przemysłowy jest wystarczającym; a co do kontroli! Miły Boże, fabrykant nie może kontrolować swego kasyera, który ucieka do Ameryki, a powołuje się na dozór zdaleka! Nam się zdaje, że jeśli panowie niemcy łódzcy nie mogą umiarkować swych dochodów, niech przynajmniej umiarkują swoje kłamstwa.

Taryfy podmiejskie.

Od lat kilkunastu *Prawda* stale wykazuje potrzebę zniżenia taryf kolejowych w kilkomilowym promieniu około miast większych, a zwłaszcza Warszawy. Zniżkę taką zalecają szczególnie dwa względy: duży ruch, dający drogom żelaznym znaczne zyski i pozwalający na tańszy przewóz pasażerów, oraz konieczność ożywienia okolic, przylegających do liczniejszych zbiorowisk ludzkich, a pozostających u nas w uśpieniu skutkiem drogiej komunikacyi. Żadne większe miasto zagraniczne nie jest otoczone tak ubogim wiankiem willi, zakładów przemysłowo-handlowych, miejsc zabawy itp., jak Warszawa, bo w żadnem nie było tak drogich taryf. Od lat paru zaczęła się reforma: powstały bilety powrotne, sezonowe, na pewną ilość przejazdów — po zmniejszonej cenie, pomyślano nawet o pewnych ulgach w opłatach transportowych (wagony dla mleka) itd. Najdalej w ułatwieniach komunikacyi posunęła się kolej Terespolska. Wszystkie te jednak reformy, zwłaszcza dotyczące ruchu pasażerskiego, mają dotąd dwa niedostatki: ograniczone są (z wyjątkiem drogi Terespolskiej) do pory letniej i zachowują przestarzałą zasadę nieobliczania ceny biletów do przystanków, lecz do stacyj, skutkiem czego pewna ilość osób płaci stale za odległości większe, niż te, które przebywa. Otóż — jak donoszą pisma— ma być wreszcie zastosowana od 1 maja r. b. taryfa podmiejska w Warszawie, Łodzi, Lublinie, Kielcach i Radomiu według normy: 3 kop. za I klasę od wiorsty, 2 za II i 1 za III. Czy opłata pobierana będzie za sumę wiorst rzeczywiście przejechanych (tj. z uwzględnieniem przystanków), czy też dawnym zwyczajem do stacyj — nie wiadomo. Jest to zaś kwestya ważna, gdyż różnica wynosi kilkanaście kopiejek w kl. III, a kilkadziesiąt w II na bilecie.

Brudno—Brudno.

Przez długi czas dzienniki nasze wiodły spór gramatyczny o nazwę nowego cmentarza: jedni chcieli go mianować brudnowskim, drudzy—brudzieńskim, inni—brudnickim. Kwestya pozostała nierozstrzygniętą i cmentarz tytułowano dalej: „na Brudnie." Ale pojęcie i dźwięk *brud* zarówno w rzeczowniku, jak w przymiotnikach raził ludzi, mających tam swe groby. Więc zaproponowano, ażeby cmentarz ochrzcić imieniem „św. Wincentego." Pomysł ten podobał się, miał jednak tę niedogodność, że trzeba go było uzupełniać nawiasowym dodatkiem: „na Brudnie." Nareszcie po kilku latach tego gramatyczno-estetyczno-religijnego korowodu ktoś wyjaśnia w *Tygodniku ilustrowanym* na podstawie aktów historycznych, że Brudno nazywa się właściwie *Brodno* (od brodu wiślanego). Cóż teraz poczniemy z brudzieńskim, brudnowskim, brudnickim i św. Wincentym? Czy powrócimy do dawnego brzmienia, czy zachowamy nowe przezwisko? Nie wiadomo, to tylko pewna, że my w każdej sprawie musimy wprzódy nagrzeszyć dyletantyzmem, zanim zdobędziemy się na gruntowność. Czyż zamiast fabrykować przymiotniki, nie należało przedtem zajrzeć do źródeł i przekonać się, jak w nich brzmi rzeczownik? Byłby odrazu cmentarz *brodnicki*, któryby nikogo nie raził swym tytułem i nie zaczerniał papieru jałowymi sporami.



IDEA A CZŁOWIEK.

Rozwój dziejowy, na pierwszy rzut oka, przedstawia się jako rezultat starcia zdań odmiennych, jako zanik pewnych idej i pochód zwycięzki innych. Myśl nowa powstaje w czyimś mózgu; wypowiedziana, oddziaływa na otoczenie, ogarnia coraz rozleglejsze koła, wreszcie zdobywszy sympatyę tłumów, doprowadza do odpowiednich reform. Po niej zjawia się na arenie dziejowej inna, postępowsza lub wsteczniejsza, wstępuje w zapasy z poprzedniczką, ginie w nich lub wychodzi zwycięzka. Idee, następujące po sobie, splatają się na krośnie dziejowem w olbrzymie pasmo, przedstawiające treść przebytych doświadczeń. Filozofia usiłowała odnaleźć prawa, któreby przewodniczyły takiemu wysnuwaniu wątku historycznego. Comte widział w rozwoju dotychczasowym postęp nieustanny: idee, posiadające pierwiastkowo postać teologiczną, przybierały, z biegiem czasu, tłómaczenie metafizyczne, w epoce zaś nowoczesnej — pozytywne, przyczem pojedyncze zakresy życia ulegają temu przekształceniu niejednocześnie. Hegliści czystej wody przedstawiali dzieje jako zwarty szereg faz, wyłaniających się każda z poprzedniej w sposób dyalektyczny: pewna „idea" występuje w życiu gromadnem jako teza, umysł ludzki przechodził od zasadniczego założenia do innego, które przeczyło dawnemu, do tak zwanej antytezy, w końcu nastawał okres syntezy, polegającej, jak rzeklibyśmy, na pogodzeniu obu, tezy i antytezy, gdyby takie określenie nie było nieścisłe, a nawet trywialne. Słowem, rozwój idei uchodził za zasadniczy pierwiastek dziejów. Przez długie czasy historyozofia poprzestawała tylko na fakcie istnienia tego pasma idejowego, i nie zastanawiała się nad jego rodowodami. Dopiero „dyalektyzm materyalistyczny" postawił kwestyę głębiej i rozwiązał ją wyczerpująco. Dał mu początek Feuerbach, wykazując, że nie „idea" stwarza „człowieka," lecz człowiek — ideę; ugruntowało go zaś lewe, krańcowe skrzydło heglistów, udowodniwszy, że starcie zdań jest tylko ideologiczną „łuną," oświetlającą antagonizmy, istniejące w materyalnych warunkach życia gromadnego, i że praw, według których rozwój wysnuwa kanwę idej, nie można zrozumieć bez rozbioru tego zasadniczego podkładu.

Na razie nie chodzi nam o analizę krosna dziejowego, na którem powstaje pasmo idej. Poprzestaniemy na wrażeniu powierzchownem, mianowicie, iż rozwój dziejowy jest historyą myśli ludzkiej, wcielającej się w nowe urządzenia i instytucye społeczne. Natomiast zastanowimy się nad innem zagadnieniem: jak działa idea na pojedynczą osobę, tj. do jakiego stopnia może przekształcić jej popędy, oślepić ją lub pochłonąć, oraz, czy to pochłonięcie jest jednakie w różnych epokach historycznych. Stawiając tak kwestyę, odrywamy ją zupełnie od gruntu rzeczywistości dziejowej, bo będziemy mieli do czynienia z ideą, pozbawioną „mięsa," z kategoryą abstrakcyjną, którą badamy nie ze względu na jej treść, lecz na sposób oddziaływania i rozpowszechniania się. I człowiek, o jakim mówić będziemy, jest tylko prostym okazem fizyologicznym, żyjącym w gromadzie—„zwierzęciem po-

lityczuem," jak powiedziałby Arystoteles: weźmiemy pod uwagę jedynie jego zdolność do ukochania czegoś i poświęcenia swoich interesów, mniejsza jaką treść posiada owo „coś," dodatnią lub ujemną, rozsądną lub niedorzeczną. Zagadnienie, ze społecznego, staje się psychologicznem, dokładniej: należącem do sfery psychologii życia zbiorowego.

Zanim jednak przystąpimy do rozbioru właściwej kwestyi, musimy roztrząsnąć nieco mechanizm szerzenia się idej — ze strony formalnej.

I.

Przebieg ten, w postaci prostej i niezawikłanej, przedstawia nam wybornie mrowisko. Mrówka, zatrwożona zbliżającem się niebezpieczeństwem, trąca różkami towarzyszkę, którą spotkała, obie zawiadamiają dalszych przechodniów itd. Po paru minutach mrowisko czernieje od małych stworzonek, biegających po niem.

Mechanizm szerzenia się idei jest tam bardzo prosty: dotknięcie rożków wywołuje gniew, animusz zaś wzrasta z każdą nową podnietą, w ten sposób udzieloną.

W społeczeństwie ludzkiem rzecz wygląda inaczej. Idea wiąże w jeden zastęp osoby, przedzielone znacznymi odstępami czasu lub wielkiemi przestrzeniami. Ale, bądź co bądź, jest to różnica raczej pozorna, niż rzeczywista, bo istota oddziaływania sprowadza się do paru prostych zasad, jednakich w obu przypadkach.

Socyolog francuski, Tarde, podjął próbę usystematyzowania praw, które rządzą rozpowszechnianiem się idej w gromadzie społecznej. We wszechświecie widzi on tylko trzy grupy zasadniczo odmiennych powtórzeń: w zakresie zjawisk fizycznych martwa bryła, np. atom lub ciało niebieskie, jest jednostką, powtórzenie polega na ruchu rytmicznym. Objawy, właściwe królestwu organicznemu, polegają na reprodukcyi gatunku, tj. na nieustannem odradzaniu się tych samych kształtów. Źródłem faktów społecznych jest naśladownictwo w jak najszerszem znaczeniu: uległość dla tradycyi, poddawanie się wpływom wychowawców, moda, sympatyzowanie z ruchami filozoficznymi, wszystko są to różne postacie powtarzania pewnego czynu. Powtarzanie to, będące przedmiotem wiedzy społecznej, przedstawia, w ostatecznem uproszczeniu, zastosowanie zasad, które fizyka odkryła dla rozchodzenia się ruchów rytmicznych, biologia zaś dla reprodukcyi gatunku.

Parę przykładów uprzytomni nam myśl pisarza francuskiego.

Każda fala powtórzeń, raz powstawszy, rozszerza się do nieskończoności, jeśli nie napotka przeszkód: kamień, rzucony do wody, wywołuje dokoła kręgi, roztaczające się coraz dalej; para małżonków odradza się w coraz liczniejszych potomkach i po upływie dostatecznie długiego czasu zaludniłaby cały glob ziemski, podróż Kolumba do Ameryki naśladuje dzisiaj paręset tysięcy osób rocznie. Każdy czyn ludzki, dodatni lub ujemny, powtarzałby się coraz częściej, zbrodnia pojedyncza zamieniłaby się na zbiorową, wyjątkowa cnota dąży do tego, ażeby się stać dobytkiem wszystkich obywateli.

Ale każde naśladownictwo ulega pewnemu spaczeniu, przechodząc z jednego otoczenia społecznego w inne, odmienne. Promień światła, przenikając do nowego środowiska, załamuje się w punkcie wejścia. Tak samo czyn społeczny, pozostając w gruncie rzeczy tym samym, zmienia się jednak, po przejściu ze wsi do miasta, od osób wykształconych do prostaczków.

W tem samem społeczeństwie istnieją jednocześnie liczne ideje. Ktoś może być pod działaniem wpływów, pochodzących z odmiennych ognisk. Powstaje wtedy zjawisko interferencyi społecznej. Jak dwie fale świetlne, spotykając się w jednym punkcie, mogą wydać światło wzmocnione lub zaćmić je stosownie do wzajemnego kierunku, jak dwa gatunki zwierzęce w walce o byt wytępiają się nawzajem lub ochraniają, tak samo dwa wrażenia lub pożądania, przy swojem spotkaniu się w czyimś mózgu, wzmacniają lub osłabiają działalność społeczną danej osoby. Są to „pojedynki" i „sojusze idejowe."

Tarde nie poprzestaje na takiem przetłomaczeniu przebiegów, badanych przez fizykę, na język stosunków społecznych, bo usiłuje do powtórzeń, właściwych życiu gromadnemu, wprowadzić pierwiastek organizacyjny. Rozwój społeczny idzie od prostego nagromadzenia faktów, doświadczeń i urządzeń do zwartego powiązania poglądów i zwyczajów, od „słownika" do „gramatyki." W ostatniej swojej pracy socyolog francuski stara się dać wzory dla przebiegów naśladowniczych, wypowiedziane w terminach jeszcze właściwszych naturze ludzkiej. „Społeczeństwo, w całokształcie swoim rozpatrywane, jest lub staje się wielkim mózgiem zbiorowym, pojedyncze, indywidualne mózgi są tylko jego komórkami!" Działalność społeczna wszelkiego rodzaju jest *sui generis* sylogizmem. Rozkazy i nauki, prawa i dogmaty, przyzwyczajenia i przepisy wiedzy, jakie oglądamy dokoła siebie w społeczeństwie, to założenia; każdy z członków gromady społecznej formułuje stosowną przesłankę pod wpływem warunków życia codziennego, gdy trzeba zastosować istniejący dogmat lub prawo, wreszcie wnioskiem jest to, na co zdecydował się ów obywatel. W każdej spójni społecznej istnieje pewna liczba zapowiedzi, związanych z sobą mniej lub więcej zwarcie i zależnie, i przedstawia dorobek historyczny narodu, jego wiedzę i doświadczenie, jego ducha. Każdy wniosek w sylogizmie społecznym, to nowe powtórzenie czynu, „odkrycia," który tkwi w założeniu.

Zatrzymaliśmy się nad najbardziej wyczerpującą próbą, usiłującą przedstawić mechanizm rozpowszechniania się idej w społeczeństwie — ze strony formalnej. Podstawą jego jest naśladownictwo, posługujące się sylogizmem; czyny pierwotne, będące punktem wyjścia dla powtórzeń, organizują się w zwarty system założeń, w „gramatykę społeczną." Idea występuje w tej analizie w zupełnem oderwaniu nietylko od warunków bytu gromadnego, lecz nawet od natury duchowej pojedynczych członków więzi społecznej. Zresztą oświetlenie rzeczy, jakie dał Tarde, jest słuszne. Może trzeba byłoby zrobić parę zastrzeżeń małej doniosłości. Ale jednocześnie winniśmy dodać, że jest ono bardzo jałowe. Tego rodzaju dociekania, póki są trzymane w należytych granicach, pozostają na swojem miejscu, choć nigdy nie przyniosą zbyt wielkiego pożytku; ale zanadto rozszerzone, sprowadzają wiedzę społeczną na manowce i wskrzeszają jedynie dawną scholastykę, która pochłania dużo wysiłków umysłowych i dowcipu, ale nie posuwa nauki. Tak jest właśnie u Tarde'a, który gotów w przytoczonych prawach naśladownictwa widzieć jedyną zawartość nauki socyologicznej. W prawdzie w jego teoryi, po za nawiasem powtórzeń, w punkcie wyjścia każdej fali naśladowczej, istnieje jeszcze „odkrycie," tj. pierwsze wypowiedzenie pewnej myśli lub pierwsze dokonanie pewnego czynu. Badacz francuski zaznacza to, ale nie zastanawia się bliżej nad znaczeniem objawów tej kategoryi, które w jego przekonaniu należą do zakresu historyi, nauki opisowej. Zresztą nie chodzi nam o prostowanie wywodów Tarde'a. Pragnęliśmy wykazać, że przebiegi społeczne, zarówno te, które odbywają się w czasie, jak i w przestrzeni, można rozpatrywać z pewnego, czysto formalnego punktu widzenia; do tego zaś pospieszamy dodać, że takie oświetlenie przedmiotu nie daje ani pojęcia o organizacyi społecznej, ani o naturze rzeczywistych czynników rozwoju dziejowego.

Jeszcze raz podkreśliwszy jałowość powyżej rozpatrzonych zaciekań, zwrócimy się teraz do pytania o wiele donioślejszego dla zrozumienia istotnych stosunków, mianowicie o ile idea może oddziałać na człowieka, duch zapanować nad ciałem. Poszukiwania w dziedzinie hypnotyzmu dokonały przewrotu w dotychczasowych poglądach na tę zależność: rozporządzamy olbrzymim zasobem faktów bardzo charakterystycznych, i całe nasze zadanie w tej mierze polegać będzie na streszczeniu tego, co psycholodzy odkryli, pogrążając pewne osoby w śnie hypnotycznym i poddając im rozkazy. W toku takiego rozbioru ujrzymy, że idea (mniejsza na razie o to, w jaki sposób przyszła na świat) staje się wszechmocną panią postępków, skoro obejmie w posiadanie czyjś mózg i z jego właściciela stworzy oddanego bojownika za pewne przekonania, wsteczne lub postępowe, pożyteczne lub szkodliwe. Jeżeli zaś zawładnie ona umysły licznych rzesz narodu, staje się naówczas pierwszorzędną siłą dziejów, bo organizuje armię bojową. Analiza więc rozpowszechniania się idei, to przedewszystkiem historya rodowodu drużyn, walczących o poglądy religijne i filozoficzne, o reformę stosunków prawnych.

Musimy zrobić jeszcze jedną uwagę. Tarde utożsamia rozpowszechnianie się pewnej idei z prostem naśladownictwem. Tymczasem jedno nie jest jeszcze drugiem: pewne ideały i potrzeby mogą rozszerzać się w społeczeństwie nie dlatego, że ludzie „naśladują" siebie nawzajem, lecz ponieważ dane hasło uświadamia obywatelom ich potrzeby i przekonania, które spoczywają w głębi ducha nieskrystalizowane. Zmieszano taki przebieg ze zwykłem naśladownictwem — pod wpływem wzorów życia, owych fanaberyj mody i innych podobnego rodzaju prądów, tak licznych w dzisiejszem szablonowem życiu porządku mieszczańskiego.

L. Krzywicki.

DO BIEGUNA PÓŁNOCNEGO.

Sensacyjną depeszę podały pisma, donoszącą, że Nansen dotarł do bieguna północnego pomyślnie i obecnie wraca przez Syberyę. Wieść ta wywarła wrażenie zarówno śród tłumów, jak i uczonych, którzy zdążyli już wysnuć najróżnorodniejsze przypuszczenia. Odważny Szwed wyruszył w podróż daleką jeszcze przed dwoma i pół laty, pobudką zaś tego przedsięwzięcia była myśl dotarcia do strefy polarnej, albo jej przebycia. Postanowił przytem nie wypowiadać walki istniejącym prądom morskim, lecz przeciwnie—posługiwać się nimi. Podróżnik ten był pewny, że gdzieś niewątpliwie istnieją prądy (ku strefie polarnej), które unoszą lodowce przez morze Północne, najpierw ku północy w kierunku bieguna, potem zaś ku południowi, do oceanu Atlantyckiego. Stwierdzają to wszystko poprzednie wyprawy do bieguna, które musiały walczyć z prądami i lodowcami, płynącymi na południe. Wyprawy te obierały kierunek niewłaściwy. Pewne wskazówki każą nawet mniemać, że prądy te przepływają strefę polarną. Np. bardzo dużo drzewa fale przynoszą co rok do brzegów Grenlandyi i Szpitzberga. Stałość tego zjawiska usuwa wszelkie przypuszczenie, że pochodzi ono z wiatrów i prądów przypadkowych. Nansen mniema, iż istnieje komunikacya prawidłowa

między brzegami Syberyi a Grendlandyi i Szpitzberga. Otóż postanowił on odnaleźć miejsce, w którem skupiają się owe prądy i dążą na północ. Po dotarciu do lodowców polarnych, miał on zdać się na łaskę prądów, które uniosłyby go przez strefy nieznane na morze otwarte po drugiej stronie bieguna.

Jeżeli więc Nansen istotnie wraca obecnie przez Syberyę, to, zdaniem prof. Nilsena z Chrystyanii, nie potrafił on dostać się na owe morze otwarte, chociaż mógł być u bieguna; nie znalazł jednak zapewne prądu przewidywanego, który miał go skierować przez biegun ku brzegom Grendlandyi. Inni przypuszczają, że przemysłowcy syberyjscy mogli widzieć statek i nawet część załogi spotkać, ale to nie był ani Nansen, ani jego towarzysze, gdyż Amerykanie, polujący na wieloryby, często przepływają przez cieśninę Behringa na ocean Lodowaty. Statek taki mógł więc być rozbity, a jego rybacy wracają obecnie przez Syberyę.

Oskar Dickson przypuszcza, że przemysłowcy syberyjscy dostrzegli zdaleka na północy statek Nansena i stąd wywnioskowali, że powraca. Markham stanowczo nie wierzy w pogłoskę o powrocie podróżnika, gdyż ten zobowiązał się pierwszą wiadomość przesłać Towarzystwu geograficznemu w Londynie i żonie w Chrystyanii. Nie jest to jeszcze dowód, bo przecież łatwo mogli go dojrzeć ludzie z dalekich wybrzeży północnych i wbrew jego woli, oraz pomimo wiedzy, przesłać wiadomość inną drogą całemu światu. Racyonalniejsze jest przypuszczenie Toruja i Nordenskjölda, którzy utrzymują, że skoro Nansen dostał się do bieguna, to nie miał powodu zwracać się tak daleko na wschód, albo południo-wschód, żeby zaczepić o wyspy Nowo-Syberyjskie lub ujście rzeki Jany.

Wreszcie p. Józef Wiggins, członek wyprawy na morze Karskie i Jenisej, podaje (w *Now. Wr.*) następujące wskazówki: jeżeli wieść o powrocie Nansena przez Syberyę nie sprawdzi się, to należy wysłać wyprawę do miejscowości, położonej nieopodal półwyspu Tajmurskiego i na przylądek Czeluskina, dla sprawdzenia, czy podróżnik szwedzki nie zostawił tam listów o swoich losach i dalszych zamiarach, miał bowiem to uczynić w zatoce Dicksona. Badania, prowadzone tam w ciągu r. 1894 przez prof. Wilikitskiego, tudzież kapitanów Iwanowa i Balkaszyna, przekonały, że Nansen, z powodów nieznanych, nie mógł przybić do tego brzegu, gdy go mijał w r. 1893. Prawdopodobnie lody nie pozwoliły wylądować. Zauważono je (r. 18·3) płynące ku północy blizko lądu. Przypuścić trzeba, że podróżnik, znalazłszy morze wolne, skierował się wprost do przylądka Czeluskina. W takim razie niepodobna, ażeby nie zostawił tam listów, zwłaszcza, że już dalej nie miałby sposobności tego uczynić. W końcu fakt, że Nansen nie był na rzece Oleńsk, gdzie za jego wiedzą baron Toll zostawił partyę psów,—dowodzi wymownie, iż przylądek Czeluskina jest właśnie punktem, w którym należy szukać listów. Na podstawie tych wniosków p. Wiggins żąda jaknajśpieszniejszego posłania tam ludzi. Na czele tej wyprawy powinien stanąć doświadczony podróżnik, znający kraje polarne, a więc baron Toll. Wyruszyć trzeba z Jenisejska do Turuchańska, następnie do Gołczychy, skąd mieszkańcy tamtejsi reniferami i psami odwiozą do przylądka Czeluskina. Najodpowiedniejszym miesiącem będzie maj, tj. pora, kiedy najlepiej można się przeprawić przez tundry. Według zapewnień projektodawcy, wyprawa ta nie grozi niebezpieczeństwem i nie pochłonie wielkich sum.

Nie od rzeczy będzie słów kilka powiedzieć o samej wyprawie i przezorności Nansena tudzież ułatwieniach, czynionych mu po drodze. Obliczał on, że cała jego podróż w strefach podbiegunowych, a może i pobyt na biegunie, potrwa lat pięć lub sześć. Na taki więc okres zaopatrzył się w żywność i wszelkie niezbędne rzeczy. „Basen polarny — twierdził podróżnik — jest tak niewielki, że w przeciągu lat pięciu możemy go przepłynąć stanowczo. Jeżeli statek zginie, użyjemy szalup, a jeżeli ruchy nasze na wodzie powstrzyma lód, to spróbujemy płynąć odwrotnie, albo posuwać się po lodzie w kierunku lądu stałego i zamieszkałego.“ Najpierw tedy trzeba było pomyśleć o statku, odpornym na lody. Wybudowano go specyalnie w ciągu 2½ lat i ochrzczono imieniem „Fram“ (Naprzód). Szkielet zrobiono z mocnego dębu włoskiego, grubości 10—12 cali, wewnątrz obito smolistemi deskami sosnowemi (4—8 cali), zewnątrz oszalowano potrójnie, tj. dwiema warstwami desek dębowych i wreszcie deskami z „bebiru“ (drzewa gwinejskiego, które jest nadzwyczaj twarde i śliskie). Tym sposobem cała grubość ścian wynosi 28—32 cali. Trzymają je ściśle i mocne wiązania belek wewnątrz. Ściany są zaokrąglone, skutkiem czego lodowce będą wyciskać statek nad wodę. Spód zewnętrznie nie wystaje, a więc lód go nie potrzaska. Wogóle okręt z kształtu podobny jest do orzecha kokosowego. Długość jego wynosi 128 stóp, szerokość 36. w wodzie zagłębia się na 16, nad nią wystaje zaledwie na 3. Pogrąża go wielki ciężar — obfity zapas węgla. Posiada on trzy maszty, maszynę parową o sile 200 koni; przy pełnym ładunku może robić zaledwie 5 węzłów na godzinę. Zabezpieczono się od zimna i wilgoci, urządzono dobrą wentylacyę, salon i kajuty oświetlone elektrycznością.

Oto są towarzysze Nansena:

Otto Swerdrup, właściciel „Frama.“ towarzysz Nansena w wyprawie do Grenlandyi, Sigurd Scott Hansen, porucznik floty norweskiej, naczelnik obserwacyj meteorologicznych, astronomicznych i geodezyjnych; Henryk Blessing, lekarz i botanik; Klaudyusz Teodor Jacobsen, szturman, którego zadaniem jest obliczanie ruchów okrętu; dawniej polował on na psy morskie i był marynarzem w wyprawach naokoło Szpitzbergu i Nowej Ziemi. Dalej: Peder Hendryksen, czuwający nad harpunem; Hijalmar Johannesen, porucznik armii norweskiej; Iwar Mohstadt, cieśla; Lars Pettersen, inżenier; Adolf Jujell, kucharz i majtek i Bernt Bentsen, majtek. Jak widzimy, wszystko to są ludzie praktyczni i doświadczeni.

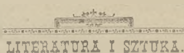
Podróżnicy zaopatrzyli się we wszystkie najniezbędniejsze przedmioty. Z produktów zaś żywności pominięto te, które mogłyby sprowadzić szkorbut. Przedewszystkiem więc zabrano różne konserwy: mięso gotowane, pieczone, solone, baraninę, zające, wieprzowinę, konserwy z ryb i kawioru, z owoców, powidła, proszek z jaj, skoncentrowany sok cytrynowy, ekstrakty różnych zup, jarzyny suszone, ryby, suchary, mąkę, kartofle suszone, mleko konserwowane, herbatę prasowaną, cukier, ser, sześć ton masła i wiele innych. Natomiast trunków nie wzięto żadnych; za napój zaś ma służyć woda z mąką owsianą. Tytoń postanowiono używać w bardzo małych ilościach. W przewidywaniu wypraw późniejszych, na saniach, zaopatrzono się w żywność specyalną, głównie mięso suszone z tłuszczem. Nie zapomniano także o różnych rodzajach ubrań, zastosowanych do klimatu, wreszcie zabrano worki ze skór wilczych i jelenich, w których można skutecznie walczyć z temperaturą 100° niżej zera. Zaopatrzono się w różne instrumenty naukowe, aparaty fotograficzne, namioty do wypraw pieszych. Nie zapomniano także o rozrywkach i zabawach, a więc zabrano książki, instrumenty muzyczne i gry różne.

„Fram“ opuścił port norweski, Wardo, 21 lipca 1893 r. i przebrnąwszy przez grubą warstwę lodów, przybył d. 30 lipca do Chabarowa nad Jugorskim Szarem, cieśniną pomiędzy Wajgaczem a lądem stałym.

Z wielką pomocą Nansenowi pośpieszył bar. Toll, doświadczony podróżnik po krajach północnych. Urządził on na wszelki wypadek trzy składy żywności. Jeden na najbardziej wysuniętym, północnym cyplu wyspy Kotielnyj. Wykuto tam w gruncie wiecznie zamarzłym dół, umieszczono skrzynię z żywnością, zapałkami i prochem, przykryto deskami, zasypano śniegiem, ziemią i zalano wodą. Obok postawiono wysoki słup z napisem: „Nansen. Depo nr. 1.“ Prowianta wystarczyć ma na 8 dni dla 12 ludzi. W drugiem miejscu na tejże wyspie pozostawiono żywność na cały miesiąc. Wreszcie trzeci w chacie Sannikowa na wyspie Mała Lachowska, gdzie zapas ma wystarczyć na dwa miesiące, a powiększony zdobyczą myśliwską, nawet do pięciu miesięcy. Następnie baron Toll przesłał podróżnikowi szwedzkiemu szczegółową mapę wysp Nowo-Syberyjskich, tudzież dokładny opis miejscowości, w których składy urządzono; wreszcie zaopatrzył Nansena w niezbędną siłę pociągową — psy ostyackie, które doprowadził do Chabarowa niemiec Trontheim po czteromiesięcznej uciążliwej podróży z Zyranami, pędzącymi stado reniferów. Tam d. 30 lipca 1893 r. doczekał się „Frama“ i oddał towar. Dnia 3 sierpnia Nansen, nie czekając na „Uranię,“ która miała przywieźć dodatkowy zapas węgla, wyruszył w dalszą drogę. Ostatnie o nim wieści przynieśli Samojedzi z Chabarowa. Dn. 6 sierpnia widzieli oni statek, płynący ku północy wzdłuż półwyspu Jalmała.

Od tego czasu dzielny Frydjof Nansen ze swą załogą zniknął zupełnie dla świata cywilizowanego. To też niedziw, że obecna pogłoska o jego powrocie tak żywo zajęła geografów i ogół oświecony. Tłumy rade powitać go jako bohatera, który opowie im ciekawe rzeczy o swoich przygodach; uczeni z gorączką wyczekują nowego światła, któreby rozproszyło grubą mgłę tajemniczości, otulającą lądy i morza podbiegunowe, ich florę, faunę i może nowe źródła energii. Wreszcie nawskroś zmateryalizowana interesowna dusza kultury współczesnej, czeka nowych skarbów, nowych dróg dla zdobycia bogactw i zapanowania nad nieprzystępnym przypuszczalnym lądem.

D. Z. M.



LITERATURA I SZTUKA.

NASZA UMYSŁOWOŚĆ SPÓŁCZESNA.

II.



iteratura religijna i książki do nabożeństwa — to nie jedno. Jakakolwiek byłaby obfitość, ozdobność i edycyjna „częstotliwość“ podręczników, przeznaczonych do posługi wiernych w domu i kościele, statystyka pod tym względem, nawet najskrupulatniejsza i najuczciwsza, służyćby mogła za wyznacznik umysłowości społeczeństwa w pewnej danej chwili dopiero wtedy, gdybyśmy mogli odbyć przegląd i zestawienie rozmaitych złotych ołtarzyków— już używanych, nie zaś świeżo kupionych. Kategorye próśb i westchnień, zaznaczonych na kartkach wielokrotnością ich przerzucania, mogłyby dostarczyć cen-

nych i znamiennych wskazówek, w jaką mianowicie stronę podążają i pochylają się pragnienia ogółu czytelnego: ku duchowości czy ku materyalizmowi, ku królestwu bożemu na ziemi, czy też ku celom ziemskim, po ziemsku pojętym, w zaświatowości. Pod względem ustopniowania tych „prądów pobożności" zachodzić mogą różnice niezmiernie szerokie i rozbieżne. Co innego najzupełniej oznacza gorące westchnienie do św. Augustyna lub do św. Tomasza z Akwinu, którzy byli filozofami, niżli do św. Jana Chrzciciela lub do św. Ignacego Loyoli, którzy byli przeważnie ascetami i anachoretami. W „Żywotach" ks. Skargi tak samo, jak i w „Biografiach" Plutarcha każdy z nas wybiera przedewszystkiem to, co mu najprościej do serca i do przekonania trafia: jeden Dyogenesa, drugi Temistoklesa, jeden pokorne męczeństwo, drugi tryumf przez miecz i ogień. Nie może być żadnego porównania, żadnej miary wspólnej pomiędzy duszą wołającą do Stwórcy o prawdę i sprawiedliwość, a duszą lgnącą przeważnie do tych stronic „Skarbczyka," na których tęsknota i żądza poprzestają na zdrowiu dziatek, finansowem powodzeniu rodziny i małżeńskiej wierności dozgonnego towarzysza życia (resp. towarzyszki). Bierność i dzielność naszych władz umysłowych, całej naszej istoty — to są antypody ludzkiego bytu, do których w zupełności stosuje się znana przypowieść, iż nie można jednocześnie służyć szatanowi niemocy i wszechmocnemu Bogu.

Jeżeli przeto dziś, w otoczeniu naszem najbliższem, tak trudno, prawie niepodobna docieć, w jakim charakterze „Z" medyumistyczne staje wobec nieskończonej ilości plusów i minusów—twardzizn i rozmiękczeń naszego mózgu pod względem usposobień pobożności i religijności publicznej, to tem bardziej nie mógł tego p. Matuszewski wykazać w przeszłości, w historycznej monografii swych Faustów i swych Twardowskich. Poszukiwania jego szczególnie szwankują w punkcie pytania, jak się na tych poprzedników i ojców dzisiejszego czarnoksięztwa zapatrywała hierarchia duchowna tamtych czasów. Z jednego drobnego szczegółu, że zwierciadełko Twardowskiego znajdować się dziś ma w zakrystyi któregoś z kościołów na Podlasiu (podobno w Węgrowie), nie sposób jeszcze przypuszczać (i autor też nie przypuszcza) aby świadczyło to o aprobacie lub tylko o przyzwoleniu na kierunek medyumistyczny w wiekach dawnych. Przedmiot zawieszony mógł być jedynie na dowód zwycięztwa wyznania panującego nad praktykami zręcznego sowizdrzała. Bywały wszakże i takie przykłady w historyi. Oto Sienkiewicz rozwinął przed nami ogromne malowidło działalności św. Pawła za panowania Nerona. Z pozytywnych dziejów tego okresu wiemy najdokładniej, że w wędrówkach największego z propagatorów chrystyanizmu włóczył się za nim — jako jego cień i trawestator, pseudo-Paweł, przedrzeźniający jego cuda, wykrzywiający jego nauczanie, płatający mu wszędzie figle z pomocą najróżnorodniejszego kalibru sztuk magicznych. Nie odważylibyśmy się zaliczyć zdradzieckiego tego sobowtóra i prześladowcy jednej z najpiękniejszych postaci dziejów powszechnych, do protoplastów medyumizmu; ale, bądź co bądź, wszystko, co wiemy o jego „seansach," parodyujących cywilizacyjną misyę św. Pawła, upoważnia nas do nadania mu przydomku: „Faust-Twardowski I-go wieku ery naszej"; prawdziwe zaś miano tego Anty-Pawła (w znaczeniu tem samem, co i Anty-Chryst, jako kwalifikacya Nerona), było: Szymon Gittoński (z Gittonu). Kiedy rzetelny św. Paweł opowiadał w przenośni o „duchach" pośredniczących pomiędzy niebem a ziemią (*instantia, fortitudo* w Liście do Rzymian, VIII, 38; „evacuaverit omnem... *virtutem*" w Liście I-ym do Koryntyan, XV, 24 itd.), to Szymon z Gittonu puszczał na cieniutkich jak włos sznureczkach, w górze rozciągniętych, najdziwaczniejsze powiewne laleczki, które niby to samo w powietrzu tańczyły; kiedy zaś Paweł wołał: „Niechaj was nikt nie zwodzi, chcąc przez pokorę i nabożeństwo (sprowadzić) aniołów — czego nie widział chodząc" (List do Kolossan, II, 18), to Szymon z Gittonu, „próżno nadęty zmysłem ciała swego"—*frustra inflatus sensu carnis suae*, udawał, że z jestestwami nadziemskiemi, schodzącemi na arenę przedstawień, obcuje, rozmawia i nawet przechadza się w górze, a gdy pewnego dnia zapragnął twierdzenie to swoje czynem poprzeć przed widzami, machinerya zakulisowa nie dopisała mu i sztukmistrz zwaliwszy się na ziemię, głową zuchwalstwo nałożył. Wiadomo przytem, że takich Szymonów w I wieku po Chrystusie liczono na tuziny; talmudy babiloński i jerozolimski mają ich kilku: Kafar-Szekania, Kafar-Naboria, Kafar-Hanania itd.

Rozumie się samo przez się, że największa kolekcya podręczników do nabożeństwa nie wskaże granicy, przy której cudowność święta, w parabolach ksiąg kanonicznych zawarta, rozchodzi się z cudotwórczością magnetyczną czy też magnetyzerską, zaprzątającą niegdyś komentatorów kabalistyki syryjskiej i chaldejskiego głównie pochodzenia. Nie jest to ani zadanie, ani kompetencya wydawnictw tego pokroju, bez względu, czy one są oprawne w szagryn, aksamit, płótno angielskie, czy w kość słoniową — i czy się ukazały w pierwszej ponowionej edycyi, czy w stereotypowej szesnastej i osiemnastej. Powołanie w rzeczonym zakresie spełnia dopiero literatura religijna tej osnowy i działalności, co Reville'a „Prolegomenes de l'histoire des religions" lub Karola Schmidta „Précis de l'histoire de l'Eglise d'Occident pendant le Moyenâge," lub Lichtenbergera „Encyclopédie des sciences religieuses..." — lub setka innych prac egzegetycznych nowoczesnego autoramentu. Ale, niestety, jak historyczna część lusterka p. Matuszewskiego jest zanadto w tym punkcie dla braku źródeł zatartą i zadymioną, tak znowu w katalogowem zwierciadełku pp. Gebethnera i Wolffa zakątek ten — aż do olśnienia oświetlony został jednokierunkowymi wyłącznie odblaskami wiedzy apologetycznej—to jest wykazującej doskonałość *obecnej* fazy, *obecnego* stanu pewnej zasady lub doktryny; z pominięciem faz i stanów, w których przewrotność, podstęp i szatańska zażartość teoryj postronnych, przeciwnych, nietylko walczyły bronią równą na dany jakiś okres czasu, lecz górowały pochłaniająco. Od dziewięciotomowej pracy Gaume'a „Zasady i całość," aż do rozprawki kardynała Joachima Pecci (obecnego papieża, Leona XIII) „Kościół i cywilizacya," od konferencyi w Notre Dame de Paris Lacordaire'a, aż do ilustracyi sądu ostatecznego na Józefatowej dolinie Gondeka, są to bez wyjątku dzieła tej samej osnowy, co i powszechnie znane Chateaubrianda „Geniusz Chrystyanizmu" lub Duilhego „Apologia naukowa." W spisie znajduje się wprawdzie i parę rzeczy tłomaczonych tej treści, co Dygasińskiego Max-Müller lub Karłowicza Draper, ale dotyczą one jedynie stosunku wiary do rozumu i wiedzy tegoczesnej wogólności, albo też stosunku jej do pewnej specyalnej gałęzi umiejętności (jak np. w danym wypadku—językoznawczej.

Co zaś do właściwej „egzegezy", to jest co do historyczno-naukowego wywodu: jak pewien całokształt lub szczegół dogmatyczny, dziś nienależący do dyskusyi, wyławiał się i rosł wśród puszczy zielsk i krzewów wszelkiego miana i pochodzenia, (talmudyzmu, gnostycyzmu, marcyonizmu, bogumilizmu, etc. etc.), na ten temat traktatów nie posiadamy wcale, ani na pokaz, ani na lekarstwo. W powszechnej walce o byt społeczeństw i narodów, zaniedbanie to wytrąca nam z rąk jedno z najdzielniejszych narzędzi samoobrony, czyni nas upośledzonymi w jednej z najważniejszych dziedzin rozwoju i postępu umysłowego.

Istotnie. Zróbmy próbę. Przybywa oto do nas przypuśćmy—szwab lub prowansalczyk, albigeńczyk w duchu, z ogromnem, w głowie swej umieszczonem pudłem sprężynek i machinek gittońskich. Wchodzi do salonu, w którym się znajduje śmietanka naszego towarzystwa i otwarcie wyznaje zgromadzonym, że jest „duchową", wypromienioną połową Anty-Pawła-apostoła, czyli właściwie nim samym, w nieśmiertelnej, historycznie żyjącej postaci dziel jego i sprawek. Zgromadzeni, tyle tylko wiedzą z „Prawdy", że Szymon z Gittonu kark sobie skręcił. Ale to nie żaden dowód przeciwko zjawisku. Największy mędrzec, największy filozof, Arystoteles, Kant nawet nie jest przecie wolny od przygód tego rodzaju; albo Eusapia Palladino nie zwichnęła sobie nogi w Edynburgu?—A przytem, fałszywość zarzutu co do złamanego karku naocznie może być okazaną w najzdrowszym karku odczepionej od ciała jaźni Szymona. I rozpoczyna albigeńczyk pudełkowe swe demonstracye: z połówkami, ćwiartkami i ósemkami duchów, przynoszących nam tak wiarogodne i jak dzień biały jawne wieści odwzory z tamtego świata, że w nich ku największemu zdumieniu całego grona, poznajemy żywe osoby i wypadki z *Quo-vadis*. Naturalnie, gdyby egzegeza pierwszych czterech czy pięciu wieków po Chrystusie nie była zupełnie obcą, wiedzielibyśmy z pewnością o sposobach, z których pomocą przezwyciężone zostały w swoim czasie owe „czary", — czary jednakże dość snadź mocne na razie, skoro Rzymianie woleli biedz raczej na cyrkowe scenizacye Szymona, niżli słuchać boskich nauk św. Pawła. Ponieważ jednak egzegezy nie posiadamy nawet na jeden proszek, przeto, wracając z wieczoru, lekko tylko pokręcamy głową, powiadając sobie z półuśmiechem: to „gittonizm"... Atoli, w parę dni lub tygodni później, znajdujemy się na seansie mediumistycznym. Staje i tu również przed nami cały szereg zjawisk „niewytłómaczonych", „niezrozumiałych", gdyż przywędrowały one do nas już „w komplecie". w złożonej, syntetycznej całości, tak samo zupełnie jak niegdyś zegarki genewskie, później stroje nadsekwańskie, dziś gorsety berlińskie, dywany flamandzkie, dziszery nadwarskie lub cebula szlazka,—bo to nie wymysł, że już i cebulę sprowadzamy z zagranicy. Gdybyśmy analitycznie znali czem był gittonizm, — osłabiłoby to przynajmniej do pewnego stopnia „siurpryzę" naszą co do mediumizmu. Dziś ciemnota pierwsza podpiera tylko i wzmacnia niewiadomość drugą, obleka ją w pozory czegoś realnego a nadzwyczajnego.

Powie nam może kto, że to jest tendencyjna szykana, nie zaś trafnie i sumiennie wytknięte niemowlęctwo umysłowości naszej tegoczesnej. Jako żywo, nie. Prędzej na płaczby się nam zebrało, niż na jakąkolwiek kąśliwość,—na drwinę z siebie przedewszystkiem, boć temu co jest, my piszący najwięcej-śmy winni. To popierwsze. Powtóre, jesteśmy dopiero zaledwie w połowie argumentacyi. Mamy w lusterku do obejrzenia ogromny dział wiedzy, niczem bezpośrednio nie związanej z prawdziwą lub fałszywą religijnością, mamy okrom tego rozległy dział dziennikarstwa, do którego też i przystępujemy obecnie z powodu świeżej pracy mag. pr. St. I. Czarnowskiego.

J. Tokarzewicz (Hodi).

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Ze sceny i z estrady.

Do licznej rzeszy śpiewaków włoskich, zmieniających się jak w kalejdoskopie, przybyło od pewnego czasu oprzcz dwoje wybitnych artystów polskich: p. Mira Hellerówna. występująca gościnnie od kilku tygodni, i p. Grąbczewski, którego zaliczono do stałych artystów naszej opery.

Z p. Hellerówną sprawa trudna,—artystka, obdarzona z natury jednym z najpiękniejszych głosów mezzo-sopranowych, z własnych pobudek, czy też za radą cudzą, przedzierzgnęła się w sopranistkę i sięgnęła po partye z repertuaru wysokich sopranów dramatycznych. Śpiewać Carmen i Małgorzatę, Mignon i Walentynę—to rzecz prawie niepodobna; trzebaby na to wyjątkowej organizacyi artystycznej, jakiejś bajecznie rozległej skali głosu. W warunkach normalnych stracić na tej wszechstronności musi i arya z kartami (III akt „Carmen"), i duet z Raulem („Hugonoci" akt IV), nie zyska na niej pieśń o „kraju gdzie cytryna dojrzewa" („Mignon"), ani duet miłosny z Faustem. P. Hellerówna wszakże wierzyć temu nie chce, choć próba z partyą Walentyny w „Hugonotach" do tego stopnia niepomyślna, że jej śpiewaczka nie powtórzyła, — powinnaby posłużyć za wskazówkę. Cóż z tego, że p. Hellerówna przez dwa lata studyów i występów za granicą zyskała wiele na umiejętności śpiewu, że nigdy się nie zachwieje w zaatakowaniu nut wysokich, kiedy te nuty, nie leżące absolutnie w skali jej głosu, wychodzą głośno i krzykliwie, kiedy nie mają tego dźwięcznego brzmienia, które w tak wielkim stopniu cechuje niższe tony śpiewaczki, w wysokich zaś bywa udziałem tylko „urodzonych" sopranów, — a i to niezawsze. Podobnie jak z głosem, uczyniła ona i ze swoją indywidualnością artystyczną,—bujny temperament, podkład dramatyczny wcisnęła np. w liryczne ramy Gounodowskiej Małgosi; znać sumienne studya w traktowaniu całej tej partyi, czuć, że to niepowszedniej miary artystka tłomaczy myśli kompozytora, ale ta Małgosia nie ujmie nas dziewczęcą prostotą, nie zachwyci naiwnością, nie obudzi współczucia bólom, bardziej rzewnym, niż tragicznym. Małgorzata Boity („Mefistofeles") więcej znacznie zbliżona do pierwowzoru Goethego niewątpliwie lepiej nadałaby się do usposobienia artystycznego p. Hellerówny. Natomiast z Santuzzą („Rycerskość wieśniacza") Mascagniego artystka rozstawać się nie powinna,—jest to zarówno pod względem wokalnym jak aktorskim jedna z najlepszych partyi utalentowanej śpiewaczki.

P. Grąbczewski wcześnie spostrzegł, że należy przedewszystkiem wyzyskać to, czem nas obdarzyła natura, i wyszedł na tem jak najlepiej. Odstąpił od krótkotrwałych, na szczęście. zachcianek tenorowych, i powróciwszy do swego pięknego barytonu, sprawia każdym nowym występem — na scenie czy estradzie — prawdziwą przyjemność miłośnikom muzyki. Dyrekcya teatrów tutejszych, podpisawszy przed paru tygodniami umowę z nim na rok jeden, miała już sposobność w przeciągu tego krótkiego czasu przekonać się, jak pożyteczną zyskała siłę. Młody śpiewak odtworzył już cztery partye: Silvio („Pajace" Leoncavalla), Walenty („Faust" Gounoda), hr. de Nevers („Hugonoci" Meyerbera) i torreador („Carmen" Bizeta), a w każdej złożył dowody swego uzdolnienia artystycznego. Głos, doskonale wyrównany, o nader szlachetnym dźwięku, płynie frazesem pełnym, swobodnym, nigdzie zachwiania się w intonacyi, nigdzie krzykliwej omisyi; przytem dykcya bardzo wyraźna, gra aktorska umiejętna, ruchy wytworne i trafne wcielenie się w charakter odtwarzanej postaci. Wszystkie to dane sprawiają, że pozyskaniu takiego śpiewaka dla naszej sceny przyklasnąć tylko można.

Zadziwić dzisiaj wirtuozostwem fortepianowem, wzbudzić zachwyt w słuchaczach, gdy błąkają się jeszcze wśród nich wspomnienia Rubinsteina, a rozbrzmiewają echa gry Śliwińskich, Hofmanów, Anety Essipow, Teresy Carreno i Zofii Menter — to rzecz niemal nieprawdopodobna. Dokazała tego jednak panna Klotylda Kleeberg, paryżanka, którą ubiegłej środy (d. 11 b. m.) słyszeliśmy w Towarzystwie muzycznem. Młoda fortepianistka łączy wszystkie zalety, wymagane od wirtuoza,—technikę bajeczną, czystość i równość tonu niezachwianą, siłę niepospolitą, wielkie uczucie, a nadewszystko celuje w oddaniu ducha wykonywanego utworu. Tak granej sonaty Beethovena (es dur op. 31, nr. 3) nie słyszeliśmy od czasów specyalnego wykonawcy arcydzieł nieśmiertelnego mistrza — Bülowa; w luźnych utworach Schumanna, związanych ogólnym tytułem *Fantasiestucke*, zdawało się, że nie klawisze, ale słowa płyną z pod palców artystki, tak wymownie umiała zilustrować dźwiękami myśl kompozytora, tłomaczącą się nagłówkami („Wieczorem," „Dlaczego," „Kaprysy," „Bajka." „Rojenia senne" itd.); niepodobna też dosłuchać się najmniejszej usterki w oddawaniu utworów Chopina — a wszak na tym punkcie publiczność nasza jest, i słusznie. bardzo wymagającą. Bez transkrypcyj operowych nie obejdzie się niemal żaden program koncertu fortepianowego — nie zrobiła też pod tym względem wyjątku p. Kleeberg; tylko, kierowana wytwornym smakiem artystycznym, nie popisala się żadną z banalnych, na efekt dla szerokich tłumów obliczonych przeróbek — wybrała kaprys Saint-Saënsa z op. „Alcesta" Glucka, utwór wartości klasycznej.

Część wokalną programu wypełnili: poczwórny kwartet męzki „Liry," który pod batutą Noskowskiego odśpiewał umiejętnie szereg pieśni, oraz panna Marya Lebrun. młoda debiutantka, występująca na estradzie po raz pierwszy. Dawno już bardzo nie zdarzyło nam się słyszeć równie pięknego głosu; brzmieniem metalicznem trafia prosto do serca, a drga w niem tyle szczerego uczucia, tyle dramatycznej siły, że jeśli p. Lebrun dalej równie umiejętnie będzie prowadzona, można jej przepowiedzieć najlepszą przyszłość sceniczną. Dziś jest młoda śpiewaczka uczenicą p. Dowiakowskiej i dowodzi jasno, że b. prymadonna naszej opery na polu pedagogicznem tak samo zasłużyć się może, jak się zasłużyła naszej scenie.

P. Henryk Melcer zapowiada swój koncert na 23 b. m. w salach Redutowych. Program obejmie i koncert z orkiestrą, własnej kompozycyi artysty, za który nagrodzono go na konkursie berlińskim. Może publiczność nasza tym razem ciekawszą będzie dowiedzieć się, za co cudzoziemcy odznaczyli rodaka.

Br. N.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Wydawnictwa zeszytowe. Księgarnia Gebethnera i Wolffa rozpoczęła w zeszytach obficie ilustrowane dzieło Guhla i Konera p. t. *Hellada i Roma* w przekładzie S. Mierzyńskiego. Całość obejmie dwa tomy i kosztować będzie w prenumeracie rs. 6.

Encyklopedyi ilustrowanej wiadomości pożytecznych M. Arcta wyszedł zeszyt 2. Całość składać się będzie z 26 zeszytów dwuarkuszowych—w przedpłacie częściowej rs. 6.

Dzieła naukowe. Prof. H. Struve wydał nakładem kasy Mianowskiego *Wstęp krytyczny do filozofii* (str. 724 w ćwiartce. Cena rs. 3 kop. 50).

Książki użytkowe. Biuro komisowe Ungra wydało pożyteczną *Księgę adresową m. Warszawy* (str. 362, cena rs. 1 k. 20).

Karp i jego hodowla w stawach opracował A. Strzelecki (str. 82, cena k. 50)

PRASA ROSYJSKA.

Warszawskij Dniewnik kilkakrotnie już wypowiadał krytykę poglądów *Ruskich Wiedomosti* (nr. 5) w sprawie polityki na krańcach zachodnich i misyi na Wschodzie. „Nad wyraz przykro jest patrzeć — mówił organ petersburski — jak na niektórych kresach kulturalnych człowiek uciska sobie podobnego, w imię wązkiego nacyonalizmu." Następnie to samo pismo w nr. 47 wyjaśnia i rozszerza powyższe zdanie:

„Rozumie się, misya na wschodzie nie powinna przeszkadzać urzeczywistnieniu ważnych zadań państwowych i na naszych krańcach europejskich; wszelka ludność różniąca się narodowością i wyznaniem, wchodząca w skład państwa Rosyjskiego, pozostając wierną religii swych przodków i swoim właściwościom narodowym, powinna się przejąć poczuciem wierności dla zasad państwowych swojej ojczyzny — Rosyi. Działalność owych narodów, niezgodna z temi zasadami i wprost sprzeczna z prawami, nadanemi przez władzę Najwyższą, powinna być niszczona w zaczątkach, bez żadnej folgi. Jasnem jest jak dzień, że to właśnie mieliśmy na myśli, mówiąc o „wązkim nacyonalizmie."

Słowa organu petersburskiego *Warsz. Dniewn.* uzupełnia następującą uwagą:

„Wyjaśnienie to zupełnie zmienia sformułowanie kwestyi kresowej, wyrażone poprzednio przez nową redakcyę *Peterb. Wiedomosti*, rozwijającą obecnie w artykule wstępnym, jak również w korespondencyi z kraju Nadwiślańskiego, poglądy, wypowiedziane r. p. w artykule *Warszawskiego Dniewnika* p. t. „Słów kilka w pewnej sprawie wagi pierwszorzędnej."

Z wymienionej korespondencyi *Peterb. Wied.* podajemy ciekawsze streszczenia i wyjątki.

Autor kładzie nacisk na to, że środki rządowe powinny się przyczyniać do możliwego zbliżenia z innemi częściami państwa, pogodzenia ludności Królestwa Polskiego z rosyjską ideą państwową. Język rosyjski zajmuje należne miejsce w zarządzie i szkole, zostawiając zupełną swobodę rozwojowi języka polskiego i literatury polskiej. Słowa te są właściwie przypomnieniem artykułu *Warsz. Dniewn.* Korespondent *Peterb. Wied.* wyjaśnia je i dalej wypowiada swoje poglądy:

„Czy znacznie posunęła się naprzód sprawa moralnego zbliżenia tych kresów z naszą wspólną ojczyzną? Na to—mówi autor — trzeba dać odpowiedź przeczącą. Kto temu winien, rzec trudno, gdyż zbyt wiele istnieje powodów historycznych i politycznych" Autor twierdzi, iż niewdzięczną rolę podburzyciela, którą dawniej odegrała Francya, obecnie wzięło na siebie jedno z państw sąsiednich:

„Posiadając niewielką część ziem polskich, państwo to otacza swych nielicznych poddanych polskich obłudną troskliwością i podtrzymuje w nich płonne marzenia o możliwości odbudowania drogiej Polakom nieboszczki, w tym jedynie celu, ażeby zyskać sympatyę wszystkich Polaków i utrudnić pogodzenie się poddanych rosyjskich pochodzenia polskiego z rosyjską ideą państwową i narodem. Galicya niewątpliwie posiada takie samo znaczenie dla Polaków, jakie miała przed pięćdziesięciu laty mikroskopowa rzeczpospolita Krakowska."

Z tym wpływem sąsiadów — powiada autor — trzeba walczyć i na niepewnym

gruncie godzić Polaków z ideą państwową rosyjską.

„Dla wprowadzenia rosyjskich zasad państwowych, istnieją dwa potężne środki: szkoła (wyższa, średnia i elementarna) i urządzenie włościan. W obu tych kierunkach uczyniono już wiele, ale dużo jeszcze należy uczynić. Lud prosty bardzo słusznie uważany jest tu, w kraju Nadwiślańskim, za najlojalniejszy żywioł, z punktu widzenia rosyjskiego. Lecz żywioł ten może się nam wymknąć, jeżeli nie postaramy się o jego wychowanie. Dotąd uczyliśmy chłopów polskich tylko czytania, a inteligencya polska, korzystając z prądu przez nas wytworzonego, stara się pochwycić w swe ręce sprawę wychowania, i skierować sympatyę włościan w stronę całkiem dla nas niepożądaną, wzbudzając niewykonalne marzenia o odbudowaniu Polski przy pomocy oświeconego ludu. Potrzebie czytania, coraz bardziej objawiającej się wśród kmiecia, politycy polscy starają się zadośćuczynić, podsuwając umiejącym czytać nielegalne wydawnictwa polskie zagraniczne, odznaczające się wrogą dążnością. Usiłują oni wzmocnić związek moralny inteligencyi ze wsią, obudzić chłopa z apatyi politycznej i stanąć na jego czele.

Nie potrzeba objaśniać, jak ważnem jest dla nas usunięcie szkodliwego wpływu inteligencyi polskiej na włościan i jak ostrożnie powinniśmy przystępować do tej kwestyi. Sympatye mas włościańskich polskich obecnie niewątpliwie znajdują się po stronie rządu, który zrobił bardzo wiele dla urządzenia ich bytu. Żeby usposobienie to nie uległo zmianie, trzeba przedewszystkiem postarać się o zmniejszenie zależności ekonomicznej i moralnej włościan od szlachty. Następnie należy dążyć do tego, żeby szkoła elementarna rosyjska zostawiła ślad głęboki w pojęciach czytającego chłopa polskiego, a w tym celu ważną jest rzeczą, aby młodzież włościańska, ukończywszy nauki, zachowywała przez jakiś czas związek swój ze szkołą. Takiem ogniwem łączącem mogą być biblioteki i czytelnie ludowe, zakładane przy szkołach, czego dotąd nie mamy. Brak ten winien być wypełniony jak najprędzej. Być może, iż ludzie, znający dobrze warunki życia tutejszego i sprawę oświaty ludowej, odpowiedzą na moje wezwanie i wygłoszą zdanie co do możliwości jaknajprędszego urzeczywistnienia rzeczonego celu. Rozpatrzenie tej sprawy przez prasę jest na czasie; słyszeliśmy, że tutejsze sfery rządowe zwróciły uwagę na brak w kraju czytelni i bibliotek ludowych i zamierzają podnieść ową kwestyę. Z serca życzymy powodzenia ludziom rosyjskim, którzy podejmą inicyatywę w sprawie tak ważnej i nie cierpiącej zwłoki.

„Chcąc podtrzymać istniejącą obecnie wierność włościan polskich dla rządu, powinniśmy ze szczególną ostrożnością stosować środki, dotyczące spraw charakteru religijnego. Chłop polski jest bardzo religijny i oddany katolicyzmowi. Pewna część duchowieństwa katolickiego korzysta z tego i pod płaszczem religii prowadzi propagandę polityczną. Prześladując sługi ołtarza, którzy podejmują się nieodpowiednich dla siebie obowiązków agitatorów, rząd staje między dwoma ogniami. Z jednej strony leży konieczność położenia końca złemu, z drugiej możliwe zaostrzenie się stosunku do chłopów, którzy nie zawsze jasno pojmują powód takiego lub innego postępowania rządu i często karę księdza agitatora uważają za prześladowanie wiary katolickiej. Nieprzyjazna rządowi inteligencya stara się podtrzymać we włościanach takie właśnie przekonania.

„Z tego jednego sądzić można, jak zawiłe są zadania rządowe w kraju Nadwiślańskim, i jak wiele rozumu i ostrożności wymagają nietylko od osób, stojących na czele zarządu, ale i od drugorzędnych działaczy. Błędy naturalnie są nietylko możliwe, ale i nieuniknione. Ten tylko się nie myli, kto nic nie robi.“

W DALI.

Lublin Roku 1895 w gubernii Lubelskiej spełniono 2,498 przestępstw. Osądzono 606 mężczyzn i 113 kobiet, a w tej liczbie 469 włościan, 228 mieszczan, 8 szlachty dziedzicznej, 12 wojskowych i 2 osoby ze stanu duchownego. Najwięcej (1,102) popełniono kradzieży i przywłaszczenia. Z liczby przestępców najwięcej przypadło na wiek od lat 21 do 30. Osadzonych było w więzieniu osób 2,156. Z końcem roku zeszłego pozostało pod kluczem: w Lublinie 468 osób, w Janowie 172, w aresztach policyjnych 309 osób. Stosunkowo do ogólnej liczby mieszkańców w gubernii nie zauważono wzrastania ilości kradzieży ujawnionych. — Zmarły w r. 1888-ym proboszcz osady Końskowoli w pow. Nowoaleksandryjskim, ks. Jan Hetner, zapisał 1,000 rs. na otworzenie w rodzinnem mieście swojem Krzeszowie, pow. Bilgorajskim, kasy dla ogółu mieszkańców wyznania katolickiego, udzielającej pożyczek na procent jaknajmniejszy. Zapis zatwierdzono, obecnie zaś rozpoczęcie działalności kasy zależne jest tylko od zatwierdzenia przez rząd gubernialny projektu ustawy. Na mocy tego projektu, prawo do otrzymania pożyczki mają wszyscy mieszkańcy Krzeszowa, wyznania katolickiego, posiadający niewielką nieruchomość, oraz drobni rzemieślnicy i handlujący. Pożyczki wydawane będą na czas od miesiąca do roku, na [illegible] w stosunku rocznym. Dopóki jednak kapitał nie wzrośnie do sumy, wystarczającej na wydawanie pożyczek wszystkim wymienionym kategoryom mieszkańców, przyznanie pierwszeństwa zależne będzie od uchwały zgromadzenia ogólnego mieszkańców. — Wkrótce miasto otrzyma rządową sieć telefonów: Osoby, mieszkające w promieniu dwu wiorst od stacyi centralnej, płacić będą za jeden aparat z oddzielnym drutem 75 rs. rocznie. Abonenci zamieszkali w większej oddległości — po 15 rs. dodatkowo za każdą wiorstę. Roboty zaczną się już 13 kwietnia. Tak więc miasta prowincyonalne zaopatrują się w komunikacyę telefonową, o połowę tańszą niż Warszawa, w której tysiące ludzi musi się obywać bez tych udogodnień skutkiem ogromnej drożyzny.

Żytomierz. Miasto, długo upośledzone, wkrotce stanie się ważnym punktem węzłowym w komunikacyi kolejowej. Wązkotorówka z Berdyczowa skończona już do Żytomierza, pójdzie w dalszym ciągu przez Owrucz i całe Polesie, za Prypecią przetnie kolej Poleską i dojdzie zapewne do którejkolwiek ze stacyj drogi Libawsko-Romeńskiej. Na tak znacznej przestrzeni linia ta niewątpliwie z czasem stanie się ważną arteryą. Ale oto rozeszła się wieść nowa. Podobno ma być budowana kolej bezpośrednia z Kowla do Kijowa przez Zwiahel, Radomyśl lub Żytomierz. Dodajmy nawiasem, że pow. Radomyski, część lesista gub. Kijowskiej, pomimo sąsiedztwa z krajem ukrainnym, kulturalnym i porznięty m ożywionemi kolejami, jest dotąd jeszcze typowem, zapadłem Polesiem; nowa więc kolej znacznie zmieniłaby charakter i warunki ekonomiczne tych przestrzeni.

Saratów. Katolickie Towarzystwo dobroczynności w r. z. liczyło 85 członków zwyczajnych i 8 honorowych. W r. z. na wsparcia wydano 5,192 rs. Kapitał wieczysty wynosi 1,500 rs., dochody w r. z. wraz z remanentem z roku poprzedniego 5,338 rs. Na ostatniem zgromadzeniu ogólnem członków postanowiono utrzymywać w dalszym ciągu szkołę dla dzieci rodziców katolików, istniejącą przy kościele. Na kuratora szkoły wybrano proboszcza miejscowego, ks. Jerzego br. Szembeka. Zarząd objęli pp.: Brzeziński (ponownie), ks. Kasprowicz i sędzia Zaleski. Oprócz nowo obranych, do zarządu należą pp.: Budkiewicz, Smoliński, Szymański, Zabiełło, Żurkowski i ks. Szembek. Zgromadzenie wyraziło wdzięczność zarządowi, oraz osobom, które przyczyniły się do rozwoju przytułku dla starców, a mianowicie pp.: Brzezińskiej, Feliksowej Szymańskiej, Adamowi Smolińskiemu, Teodorowej Baranowskiej, Kotłubajowi, ks. kanonikowi Flekowi, Brzezińskiemu i p. Teodorowi Baranowskiemu, wreszcie doktorowej Maszkowskiej za urządzenie przedstawień amatorskich na rzecz Towarzystwa.

Petersburg. Ministeryum komunikacyi uchwaliło projekt budowy telegrafu na Wołdze, wzdłuż jej prawego brzegu, o 33-ch stacyach, pomiędzy miastami: Bogorodzk, Kazań i Niższy Nowogród. Urzeczywistnienie tej myśli, podanej przez inżeniera komunikacyi, p. Krulikiewicza, jest pożądanem dla ludności, mającej styczność z żeglugą. Na rzece tej krąży 1,130 statków parowych i 3,470 rozmaitych innych. Porozumiewanie się więc telegraficzne bywa w wielu razach konieczne. Wykonanie tych robót, kosztem 80,000 rs., polecono projektodawcy z warunkiem, ażeby je wykończył przed otwarciem wystawy w Niższym Nowogrodzie. Materyał ma być sprowadzony z Warszawy, dokąd p. K. w tych dniach się udaje.



KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Drukarnie, posiadające motory i nie mniej niż 16 pracowników, podlegają nadzorowi inspekcyi fabrycznej.

— Zatwierdzono Towarzystwo cyklistów w Piotr-[illegible].

— Resursa kielecka dn. 1 stycznia liczyła 100 członków.

— Stowarzyszenie spożywcze w Suchedniowie dn. 1 stycznia liczyło 94 członków. przed rokiem zaś 101. Kapitał obrotowy wynosił 4,575 rs. (przed rokiem 5,265).

— Straż ogniowa ochotnicza w Warcie liczyła r. z. 82 członków czynnych i 26 honorowych.

— *Syn Otiecz.* donosi, że dla ochronienia ludu od szkodliwego wpływu książek, tworzy się oddzielny komitet cenzury, mający specyalnie cenzurować wszystkie tego rodzaju wydawnictwa.

Pięknie! Któżby jeszcze śmiał robić zarzut naszej arystokracyi. że nie pamięta o biednych, przeczytawszy wiadomość, że zmarła Ludwika z Paców Sapieżyna zapisała część swego majątku zakładom dobroczynnym w... Paryżu!

Dr Zofia Daszyńska została docentką akademii Humboldta w Berlinie.

Szkoły. Egzaminy uczniów szkół początkowych w okręgu warszawskim, pragnących uzyskać ulgi w wykonaniu powinności wojskowej, mają być zdawane we wszystkich średnich zakładach, podlegających ministeryum, w szkołach powiatowych i miejskich, oraz przed komisyami specyalnemi, ustanowionemi w miastach powiatowych. Do komisyi należą: komisarz włościański jako przewodniczący, ksiądz, nauczyciel szkoły, której uczniowie poddają się egzaminowi, oraz drugi nauczyciel, wybrany przez okrąg naukowy.

— Władze właściwe postanowiły otworzyć w Warszawie „szkołę fachową“ kosztem 30,000 rs. Pomieści ona 40 uczniów. Program obejmie naukę rzemiosł w zakresie wyrobów metalowych i drzewnych. Cechy odmówiły swojej pomocy pieniężnej, tłomacząc się zbyt małą liczbą miejsc.

Sądy. Niedawno wytoczono sprawę karną ze skargi urzędu podatkowego miasta Ciechanowa przeciwko p. Stanisławowi Kujawskiemu o to, że jako właściciel domu, przesyłając deklaracyę z wykazem cen lokatorów, skreślił po polsku swój podpis i nazwiska lokatorów. Drugą taką sprawę, również ze strony tego samego urzędu, miała jednocześnie p. Marya Kujawska. Sędzia pokoju m. Ciechanowa uznał, że wobec orzeczenia senatu, urząd podatkowy nie miał prawa uważać deklaracyi p. Kujawskich za niebyłą. Innego zdania był zjazd pokojowy II okręgu gub. Płockiej, który uwzględnił apelacyę i skazał p. Stanisława Kujawskiego na 15 rs., a p. Maryę Kujawską na 10 rs. grzywien. Sprawy te przeszły do senatu, który wydał dwa następujące orzeczenia: w sprawie Stanisława Kujawskiego wyrok sędziego pokoju, oparty na tej zasadzie, że deklaracya, sporządzona zgodnie z wymaganiami art. 24 ustawy o podatku państwowym od mieszkań, i zawierająca jedynie kilka nazwiska i nazwę ulicy, skreślone literami alfabetu łacińskiego, nadeszła w dniu 28-ym grudnia 1894-go r., tj. na długo przed terminem przez prawo zakreślonym, i że urząd podatkowy, o ile znalazł przeszkodę do odczytania rzeczonych nazwisk i nazwy ulicy, mógł i powinien był zwrócić deklaracyę Kujawskiemu, dla należytego jej poprawienia i złożenia napowrót przed upływem terminu. Tymczasem zjazd, uchylając wyrok sędziego pokoju, dopuścił się jawnej obrazy art. 130, 168 i 270 ustawy postępowania karnego; skutkiem tego senat przekazał sprawę zjazdowi płockiemu I-go okręgu do ponownego przejrzenia. W podobnym duchu, lecz nieco inaczej brzmi drugie orzeczenie: Na

blankiecie drukowanym po rosyjsku Kujawska skreśliła literami łacińskiemi swój podpis, tudzież nazwę ulicy, imię i nazwisko lokatora, a nadto liczbami numer domu, ilość pokojów i ceny. Ponieważ blankiet nie zawiera żadnego tekstu w języku polskim, podpisywać się zaś literami łacińskiemi wolno w Królestwie, nawet na papierach urzędowych i podaniach, więc niema podstawy zapatrywać się na deklaracyę Kujawskiej, jako na dokument sporządzony wbrew prawu, gdyż cały tekst jest wydrukowany po rosyjsku. Zatem senat uchylił wyrok zjazdu płockiego II-go okręgu, z powodu obrazy art. 24 i 25 ustawy o podatku państwowym od mieszkań, sprawę zaś przekazał zjazdowi I okręgu pło[illegible]

Wystawy i zjazdy. W Moskwie otwarto wystawę hodowli ryb i rybołóstwa. Wzięli udział wystawcy z Niemiec, Francyi, Austryi i Ameryki. Z Niemiec przysłano kilka gatunków nowych ryb, hodowanych w akwaryach, ikrę pstrągów amerykańskich, wędki, oraz kolekcye naukowe. Z Francyi różne wydawnictwa z zakresu hodowli ryb i rybołóstwa, aparaty, oraz przyrządy do hodowli ostryg; z Austryi — żywe ryby i egzemplarze fauny z morza Adryatyckiego; z Węgier—wielką kolekcyę naukową, z Ameryki rośliny wodne, z Islandyi śledzie i ryby itp. Wystawa potrwa do d. 29-go b. m.

— W warszawskim salonie artystycznym otwarto wystawę portretów.

Koleje i komunikacye. Na Wiśle otwarto już żeglugę parową.

— Towarzystwo kolei Łódzkiej wystąpiło do ministeryum komunikacyj z projektem przeprowadzenia w Łodzi sieci kolei wązkotorowych, pozwalających dostawiać wagony towarowe do wszystkich fabryk i zakładów przemysłowych, położonych nawet w najwięcej zaludnionych dzielnicach miasta. Budowę tę zaprojektowano zamiast kolei obwodowej, o co starali się niektórzy fabrykanci miejscowi.

Wypadki. Z Woroneża donoszą, że dn. 16 marca w Jewdokowie, stacyi kolei Woronezko-Rostowskiej, wykoleił się pociąg. Ranieni dwaj podróżni i dwaj konduktorowie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Stałej czytelniczce. „Wyobrażam, że ..“ jest poprostu błędem drukarskim, skutkiem opuszczenia „sobie:“ „czemże zła jest...“ nie należy do wyrażeń wzorowych, ale możliwych.

Hel. Ros. „Geometrya“ Badowskiego i „Algebra“ (tłómaczona) Kwietniewskiego.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 8 Марта 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8